Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 26 (1814) • 4–10 lipca 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ludobójstwo na żywo

str. 13

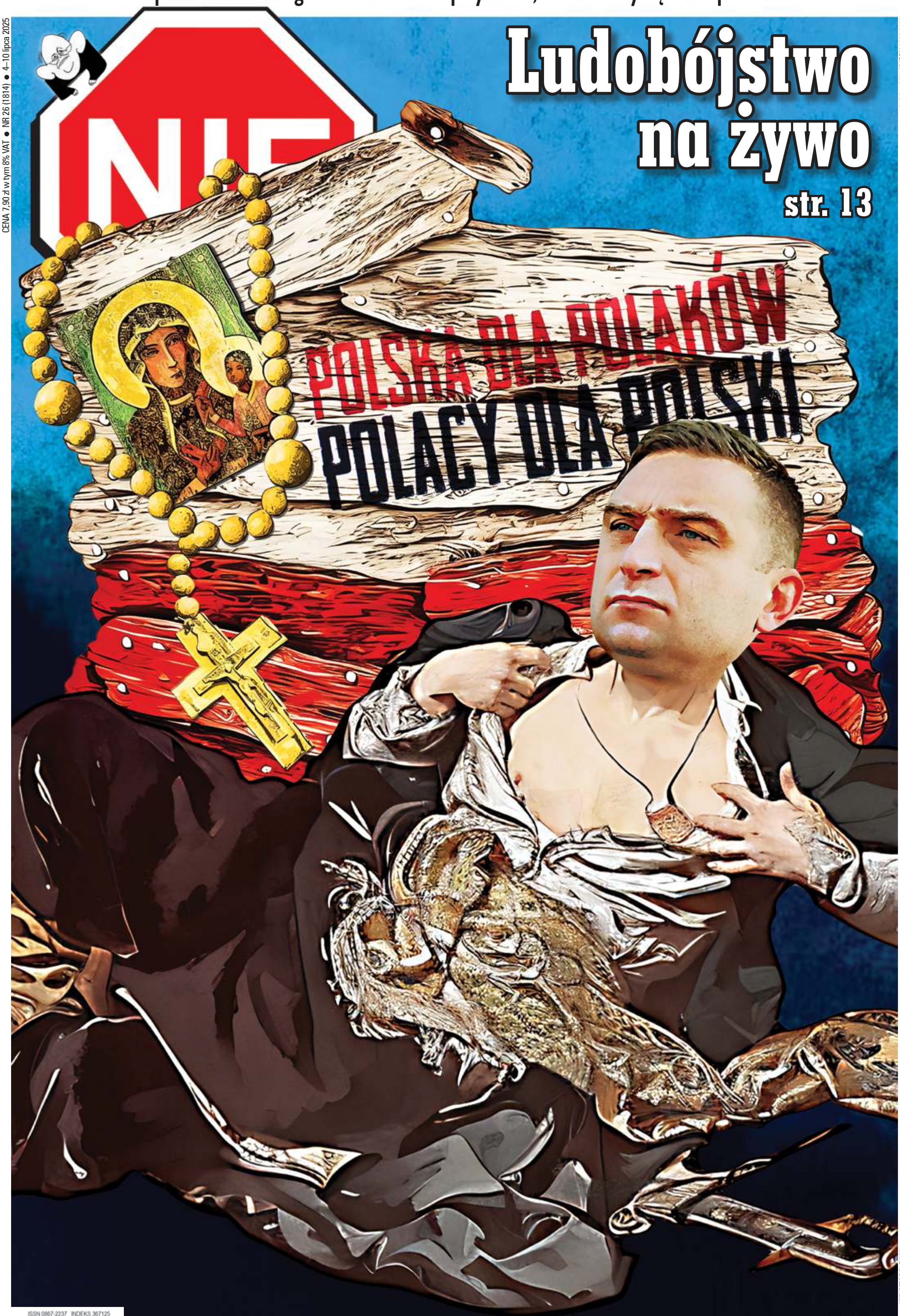

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 27

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 798b5f08a6

WOJNA DOMOWA

Wiemy, że wszyscy z zapartym tchem czekają na tę informację, więc od tego zaczynamy: Jarosław Kaczyński został wybrany na prezesa PiS. „Mam już swoje lata, nie ma co ukrywać, ale wierzę, że dam radę. Dam radę tylko z państwem. Musimy dać radę, bo Polska musi się zmienić" – ogłosił po wyborze. Spośród „państwa" wypadł Mariusz Kamiński, który nie załapał się do grona jedenastu wicekaczyńskich. Załapał się za to Przemysław Czarnek, który ma też ponoć zostać szefem kancelarii prezydenta Nawrockiego. W zastępstwie Marka Kuchcińskiego, którego zatrudnienia na tym stanowisku Nawrocki podobno odmówił. Uczciwie mówiąc, nawet mu się nie dziwimy. Jako wychowankowie Urbana zawsze wolimy skurwiela od kretyna.

Rząd podwinął ogon i przywrócił kontrole na granicy z Niemcami i Litwą po tym, jak świry od Bąkiewicza zaczęły aresztować ludzi, którzy wydawali im się ciemniejsi niż nasza pszenno-ziemniaczana norma piękności („Przed chwilą patrol Ruchu Obrony Granic w Gubinku na moście kolejowym ujął 4 nielegalnych migrantów z Erytrei"…). Bąkiewicz i jego Ruch Ochrony Granic triumfują. Cudowna broń Donalda, nowy rzecznik rządu Adam Szłapka, wyjaśnia, że władza wcale nie klęka przed naziolami i wybryki bojówek Bąkiewicza – które bynajmniej nie zaprzestają działalności – będą surowo ścigane: „Wszyscy, którzy łamią prawo, będą ponosić odpowiedzialność. Po pierwsze nie może być znieważania funkcjonariuszy publicznych, polskiego munduru, to jest artykuł 226 Kodeksu karnego"… Serio? To jest „po pierwsze"? Nie to, że banda wydzierganych łysoli napada na ludzi na drogach? „Mam 9 wyroków wskazujących, dwie sprawy w toku" – chwalił się „Faktowi" jeden z liderów komando Bąkiewicza w Zgorzelcu. Ale to jest ok, dopóki nie nazwie pogranicznika matkojebcą?

PiS niezaskakująco postanowiło pożeglować na naziolskiej fali i złożyło projekt ustawy o „czasowym zakazie wjazdu obywateli państw trzecich na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej". Trzecich – czyli spoza Europy Zachodniej. Zapisy są fascynujące. „W przypadku uzasadnionego podejrzenia", że przybłęda nie powinien trafić do Najjaśniejszej, „funkcjonariusz SG stosuje środek zabezpieczający w postaci natychmiastowego wydalenia osoby z terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Wydalenie następuje niezwłocznie po ustnym jego ogłoszeniu osobie, której ono dotyczy". Powodów do podejrzeń jest wiele, ale na najbardziej spodobał się ten, który pozwala wypierdolić człowieka, gdy jego „pobyt na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej może stanowić zagrożenie dla zdrowia publicznego". Jak to prezes powiedział? „Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne"…

„Nieuznawana izba Sądu Najwyższego uznała wynik wyborów prezydenckich" – doniosły prorządowe media. Trzech sędziów złożyło zdania odrębne, a jeden z nich tłumaczył się w radiu, dlaczego w ogóle jest w tej izbie: bo zawsze chciał być sędzią Sądu Najwyższego, ale teraz się trochę wstydzi. Minister Bodnar wytłumaczył z kolei, że izby nie uznaje, ale poszedł na posiedzenie „reprezentując interesy obywateli, którzy złożyli protesty wyborcze i nie mają innego miejsca, które mogłoby rozpatrzeć ich protesty wyborcze, stąd moja obecność". Zapytany w TVN24, czy gdyby to była inna izba, całkiem legalna, to on jako prokurator generalny postulowałby uznanie wyniku wyborów, czy nie – prof. Bodnar powiedział szczerze: „Pan redaktor oczekuje tego, żebym ja powiedział coś, czego ja nie chcę powiedzieć". Z innych ciekawostek: słynna „aplikacja Mateckiego", która miała pozbawić tysiące zwolenników Trzaskowskiego możliwości głosowania – „Być może mówimy o popełnieniu przestępstwa" mówił Donald Tusk 10 czerwca – stała się powodem 3 (słownie: trzech) protestów wyborczych.

PAP poinformowała, że Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK podjęło uchwałę o przeniesieniu w stan spoczynku Krystyny Pawłowicz z dniem 5 grudnia br. „Powodem tej decyzji ma być stwierdzenie przez lekarza orzecznika ZUS niezdolności do pełnienia obowiązków" – donosi PAP. Sama Pawłowicz w rozmowie z agencją orzekła, że chce poznać źródło informacji, bo o plotkach nie będzie rozmawiać. Atoli już parę godzin później na stronie internetowej TK pojawiło się jej ręcznie sygnowane oświadczenie: „Agresja wobec konstytucyjnych instytucji ustrojowych, w tym mnie osobiście, wytworzyła warunki utrudniające lub wręcz uniemożliwiające wykonywanie funkcji sędziego" – zaszlochała. „Te akty nienawiści niestety negatywnie wpłynęły na moje zdrowie, nieodwracalnie je pogarszając. Zmusiły mnie po 6 latach do wcześniejszego odejścia z urzędu sędziego Trybunału Konstytucyjnego". Toniemy w żalu.

Sławosz Uznański-Wiśniewski z orbity rozmawiał z premierem, wicepremierem, ministrem i szefową Polskiej Agencji Kosmicznej. Rozmowy były niezwykle produktywne. Np. premier powiedział drugiemu polskiemu kosmonaucie (nie „astronaucie" – po polsku lata się w kosmos, a nie w astry), że „kiedy patrzyłeś z kosmosu na Półwysep Helski, to ja machałem do ciebie z całą rodziną, ale to pewnie jest nie do zobaczenia z tej odległości". Z kolei wicepremier i minister obrony narodowej przekazał pytanie od „córeczek, Zosi i Rusi, jak w warunkach mikrograwitacji można przyłożyć głowę do poduszki". Pomiędzy bezmyślnym szczerzeniem zębów do dygnitarzy i odpowiadaniem na infantylne pytania, Uznański-Wiśniewski zdołał wtrącić zdanie o tym, iż warto „zmienić paradygmat ekonomii opartej na usługach na opartą na przemyśle o dużej wartości dodanej, kierowanej przede wszystkim przez technologie i innowacje" – ale nikt go nie słuchał. A tak swoją drogą – czy ktoś wie, dlaczego wszyscy dygnitarze rządu Tuska uznali za stosowne zwracać się do Uznańskiego-Wiśniewskiego per ty, kiedy on tego zwrotu nijak nie odwzajemniał i do wszystkich mówił „panie premierze", „panie ministrze", „pani prezes"? To nie jest piłkarz, do kurwy nędzy, tylko 42-letni inżynier elektronik z doktoratem.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czerwiec 2013 r.

Świętej Germiny

Mina w Afganistanie zabiła polskiego żołnierza, więc go żałowano. Z drugiej strony to dobrze, że na wojnach USA jeszcze czasem zabijają Amerykanów i ich sojuszników. Stany Zjednoczone stają się państwem najbardziej zagrażającym pokojowi na świecie. Nie tylko dlatego, że jego prezydenci rozpętują bezsensowne wojny lokalne, np. w Wietnamie i Iraku. Teraz z tego powodu, że rozwijają techniki (drony itp.), dzięki którym zza biurka gdzieś w Waszyngtonie można zabijać, kogo się zechce, i to masowo, w ogóle nie ryzykując życia własnych ludzi, a więc nie borykając się z opinią publiczną w Stanach. Ten czynnik hamujący odpada. Militarne możliwości USA sprzyjają przyszłemu rozwojowi terroryzmu jako jedynego dostępnego środka odwetu.

Polska kocha Amerykę, więc nikt inny niż ja wam tego nie powie, że to jej się bać trzeba.

Świętego Ojca

Wobec oburzenia moim żartem filmowym na YouTubie, gdzie mówię, że wejdę na Kongres SLD, przebierając się za członka tej partii, wkładam maskę małpy i klaszczę, wyjaśniam: nie uważam towarzyszy SLD za zwierzęta, lecz za małpy małpujące się nawzajem w oklaskiwaniu Millera.

Z przyjemnością słuchałem „Międzynarodówki", żałując, że tę piękną historyczną pieśń SLD śpiewał po raz pierwszy i – jak przypuszczam – ostatni.

Świętego Herva

TVN24 pokazała rysunek jakiejś landary i powiedziała, że komuniści zburzyli zamek Hohenzollernów w swoim Berlinie, zamiast go odbudować. Co Republika Federalna teraz robi. Nawet temat architektoniczny jest dobry, by choćby przez przemilczenie obrzydzić czerwonych. Państwo pruskie po wsze czasy zostało zlikwidowane postanowieniem zwycięskich mocarstw po II wojnie. Dlatego dziś mamy w Niemczech Bawarię, Saksonię itd., a Prus nie. Z tego też powodu NRD nie odbudowała zamku królów pruskich. Natomiast Gierek odbudował w Warszawie Zamek Królewski. Ma on trzy cechy: brzydki, niespójny architektonicznie i do niczego nie służy. Oczywiście można zwiedzać, ale nie ma po co.

Noc ze św. Herva na św. Leonsa

W miniony poniedziałek niecierpliwie czekałem wieczoru, żeby się wreszcie dowiedzieć, czy hrabianka wyjedzie z szoferem hrabiego, czy kandydat na przyszłego hrabiego przed ślubem rzuci narzeczoną dla starszej hrabianki Mary, czy osobistego lokaja hrabiego aresztują za zabicie żony. Niecierpliwiły mnie więc kwestie doniosłe mające się rozstrzygnąć w odcinku ósmym serialu „Downton Abbey" przewidzianym w programie na 22.05 w TVP 1. Zamiast tego bez żadnego uprzedzenia czy przeprosin ukazały się mordy przewodniczącego KRRiT i paru redaktorów naczelnych, którzy dyskutowali o mediach, abonamentach, programie TVP i jego widzach. Trwało to bitą godzinę, a widzowie nie wiedzieli, czy dyskusja zastępuje serial i trzeba zamknąć telewizor, czy też ględzenie przeczekać. Tak to telewizja publiczna pokazuje, że ma w dupie widzów, od których żąda abonamentu. Ważniejsze jest, żeby nagle pokazać państwowego dygnitarza, od którego jest zależna – prezesa Dworaka. To panisko. Jak dworak zachował się Piotr Kraśko, który prowadził przeciwludzki program na żywo.

Świętego Leonsa

Kiedy wielkomiejscy Turcy pokazują, że nie chcą autorytarnej władzy, islamizacji państwa i wtapiania go w świat muzułmański, Unia Europejska powinna ten bunt wspomóc. Ogłosić uroczyście, że chce jak najszybciej przyjąć Turcję do zjednoczonej Europy i odrzuca prawicowe teorie o chrześcijańskim fundamencie kontynentu. UE gapi się biernie na Turków, czekając na to, co z ich buntu wyniknie. Chciałoby się Brukseli dać kopa, żeby odzyskała refleks polityczny.

Świętego Romualda

Daniszewska leczyła zakażenie ręki. Pogryzł ją jej ukochany kot Zenek, nie podając powodu. Ten kot nie myje zębów.

Gdy Daniszewska płaciła za lekarza, proszono ją, żeby zapisała się w przychodni na darmowego pacjenta i była gryziona na koszt NFZ. Już nic nie można zrozumieć z tej służby zdrowia. Chyba ma kota.

Świętego Silvera

Od kiedy odmówiła Fibakowi, red. Malina Błańska ma takie wzięcie, że brak jej czasu na pracę. Jako właściciel „NIE" źle wychodzę na cnotliwych dziennikarkach, które przebierają w samcach. Na szczęście Błańska jest wyjątkiem.

Świętego Summera

Obchodziłem 27. rocznicę ślubu z Daniszewską. Kupiła sobie 250 piwonii. Gdy przed laty rżnąłem co wieczór Daniszewską, uważała mnie za znakomitego męża. Od kiedy zostałem impotentem, jestem jaszcze lepszy. I to prawda – impotent zadowoli cały Kongres Kobiet.

Świętej Jelizetty

Na kongresie kobiet Tusk oznajmił, że nie będzie ustawy o związkach partnerskich i przekonywał za Gowinem o jej niekonstytucyjności. Równoległy kongres SLD w swojej uchwale wszelkie sprawy ideowe tworzące konflikt z klerem skwitował postulatem równego traktowania wyznań, czyli uciekł z linii strzału. Tak w sposób niewidoczny dla wyborców wykuwa się przyszła zachowawcza koalicja PO–SLD.

Świętego Faula

Telewizje pokazały skutego, aresztowanego oficera policji, wyrzuconego już z pracy za molestowanie nieletniej. Na działkach miał całować i obściskiwać 14-latkę. Gdyby miała 15 lat, byłby w prawie. A przecież po pijanemu można się o rok pomylić. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Film „21:37"** o reakcjach Polaków na śmierć JP2 jest dostępny na Netflixie. Szukajcie go w kategorii czarna komedia.
- **W polskich szpitalach** jedzenie ma być dostosowywane do potrzeb zdrowotnych pacjentów. Pacjenci z gastrologii dostaną flaki.
- **Andrzej Duda** napisał o sobie książkę pod tytułem „To ja". Tytuł uwzględnia wszystkie dokonania.
- **Dorota Szelągowska** wspomina, jak wysłała z wakacji kartkę do mamy na koszt odbiorcy. Tak to jest, jak się pisze felieton z głowy, czyli z niczego.
- **Jarosław Kaczyński** po raz siódmy został prezesem PiS. Teraz okaże się, czy tu obowiązuje zasada siedmiu żyć kota.
- **Chiny** wyprodukowały drona wielkości komara. Scenariusz na cyberpandemię pisze się sam.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Niech…

Mam propozycje dla tych wszystkich z gębami pełnymi frazesów, żeby zaczęli od siebie. Uszczegóławiając:

– niech ci, którzy decydują o rozpoczęciu wojny, idą na pierwszą linię (jak kiedyś wodzowie), a nie pierdolą wielkich słów nad trumnami tych, co tam byli;

– niech fani nienarodzonego dziecka pomogą matkom dzieci niepełnosprawnych, małolatom, które urodziły, a teraz oprócz innych problemów (i tego, że same są dziećmi) spotykają się z co najmniej niechęcią otoczenia (…);

– niech świętojebliwi zaczną przestrzegać swoich przykazań, swoją drogą dobrze mają katolicy: narozrabia taki, wyspowiada się, odwali parę zdrowasiek czy czegoś i znów jest święty;

– niech Kurski i podobni trzymają się przysięgi: „aż do śmierci, w zdrowiu i chorobie" (nie wiem, czy dokładnie tak, ale taki sens), a nie wymyślają, że małżeństwo z trójką dzieci nie było skonsumowane (…);

– o mafii kościelnej nawet nie wspominam, to niereformowalna... – brak słów nawet wulgarnych;

– niech Kaczor da przykład i jak nie ma żony, to niech adoptuje z piątkę dzieci, stać go, a nie pierdolą, że kobiety nie chcą mieć dzieci, może dlatego że tyle mieszkań im władza wybudowała;

– niech ci wszyscy święci z kosmicznymi dla większości zarobkami, to, co ponad minimalną, oddadzą biednym, a żyją za ok 4 tys. zł, może by się nie odklejali od rzeczywistości;

– niech przestaną gadać o patriotyzmie, bo dzięki nim ludzie już w ogóle nie wiedzą, co to jest, albo rozumieją go opacznie.

Życzliwe pozdrowienia

NORBERT GRENDA

Pochwała Jarugi

Kupuję „NIE" od pierwszego numeru. Odniosłem wrażenie, że tekst Roberta Jarugi „Architekt cieni" (nr 24–25/2025) jest najważniejszym tekstem od zawsze, a jednocześnie najsmutniejszym. Nic, tylko siąść i płakać albo się zabić. Sam głosowałem na prof. Senyszyn, a potem na Trzaskowskiego i zostałem przegłosowany.

Dokonałem odkrycia, że Nawrocki był najgorszym spośród całej trzynastki kandydatów, co tylko potwierdza Pańską tezę: „od 11 lat nonsens jest w natarciu, a głupota triumfuje" oraz „absurd nie musi się już tłumaczyć. On ma większość".

STEFAN BURCZYMUCHA

Sport prezydencki

Czy kibolska aktywność nadgraniczna i nietykalność panów kiboli jest jakąś nową jakością związaną z wyborem na prezydenta osoby wiadomej? (…) To znaczy, że teraz kibolom będzie wolno więcej, bo to sport prezydencki?

AK

eprasa.pl 798b5f08a6

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dzieci renty wdowiej

Rządzić czy usterki naprawiać?

„Lewica się rządu nie wstydzi. Chce się chwalić swoimi osiągnięciami” – zadeklarował podczas czerwcowej konwencji programowej lider Nowej Lewicy Krzysztof Gawkowski. Wicepremier i minister cyfryzacji w rządzie Tuska.

I dotrzymując słowa, ogłosił, że uchwalona jest już ustawa dotycząca budowy mieszkań na wynajem. Przekonywał, że mieszkalnictwo „musi być rzeczywistym skokiem cywilizacyjnym” w Polsce.

„Dzisiaj mówimy naszym przyjaciołom z rządu: powołajmy wspólnie ministerstwo mieszkalnictwa. Ważne i odważne decyzje niech będą początkiem zmiany myślenia o rządzie” – apelował do koalicjantów.

„W rządzie jesteśmy głosem ludzi pracujących, młodych, kobiet. Tych, którzy w czasie rządów PiS czuli się lekceważeni, niedoceniani” – przekonywał lewicowych wyborców. „Dowieźliśmy dużą część programu Lewicy”.

Do tej pory lewicowi parlamentarzyści i ministrowie zwykle informowali o tym, czego nie udało im się „dowieźć”. I najczęściej obarczali winą za to rozchwianych politycznie koalicjantów z Trzeciej Drogi oraz prezydenta Dudę, zdeklarowanego wetownika lewicowych ustaw.

Kiedy okazało się, że progresywnego prezydenta RP w tej dekadzie nie będzie, kiedy Trzecia Droga politycznie rozeszła się – liderzy Nowej Lewicy postanowili zacząć eksponować swe zalety.

Koalicji Obywatelskiej zadeklarowali swą gotowość do dalszego w rządzie trwania i utrzymanie jedności parlamentarnego klubu Nowej Lewicy pomimo różnorodności jego składu.

A lewicowych wyborców zaczęli bombardować litaniami swych dotychczasowych dokonań. Aby przekonali się, że warto było w koalicję nawet z libkami wchodzić.

Chwalmy siebie w niebiosach, chwalmy siebie w dolinach…

„Współpraca przynosi efekty w postaci konkretnych ustaw i programów” – przekonuje nas ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Najbardziej aktywna i efektywna w mediach liderka Nowej Lewicy.

Zwykle to od niej lewicowi wyborcy mogli się dowiedzieć, że lewicowi parlamentarzyści przygotowali już projekt ustawy o stażu pracy, który pozwoli osobom przymuszanym przez pracodawców do samozatrudnienia lub pracy na śmieciówkach uzyskać prawo do dłuższego urlopu.

Albo o projekcie ustawy o związkach partnerskich, który może być jednak przez nowego prezydenta zawetowany.

O wspomnianej już ustawie o budownictwie mieszkań na wynajem.

O podwojeniu świadczeń z Funduszu Alimentacyjnego.

O programie „Aktywny Rodzic” zwiększającym finansowanie opieki żłobkowej.

O programie zwiększającym stypendia dla uczniów.

O wydłużeniu urlopów macierzyńskich dla rodziców dzieci wcześniaków.

To parlamentarzyści lewicy doprowadzili do chroniącej prawa kobiet zmiany prawnej definicji „zgwałcenia”.

Oni też przygotowali projekt ustawy i działań liberalizujących prawo aborcyjne. Choć w obecnych warunkach pewnie i on nie przeistoczy się w konkret.

Dzięki aktywności i obecności lewicy w tym rządzie już w tym roku Wigilia Bożego Narodzenia stanie się dniem ustawowo wolnym od pracy. Niebawem rozpocznie się też program pilotażowy dotyczący badania skutków skracania czasu pracy. Nie tylko w administracji samorządowej i państwowej, agencjach reklamowych, placówkach badawczych. Także w przemyśle. Program jest dobrowolny, dostosowany do warunków przystępującego przedsiębiorstwa lub instytucji.

Oczywiście krótsza praca nie oznacza niższej płacy. Wszystkim należy się godna płaca. Bo pracujemy, żeby żyć, a nie żyjemy, żeby pracować.

Minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek obiecuje innowacje, które na nowo zdefiniują rozwój gospodarczy naszego państwa. „W 2025 roku na naukę wydaliśmy niemal 40 mld złotych. Do Polski wreszcie płyną pieniądze z KPO. W ramach tych środków 1,5 mld złotych przeznaczyliśmy na rozbudowę potencjału badawczego. Zależy mi na wzmocnieniu synergii nauki i gospodarki” – przekonuje nas Kulasek.

Na razie największą popularność w realu i w mediach zdobyła renta wdowia. Rozwiązanie pozwalające na dofinansowanie emerytury wdowy ze świadczenia jej zmarłego męża. Lub odwrotnie.

Mnie najbardziej przekonał do dorobku Nowej Lewicy podwyższony zasiłek pogrzebowy. Nawet PiS przez osiem lat swych rządów trzymał go na poziomie 4 tys. zł. Bo skoro zmarli nie głosują, to nie warto w nich inwestować.

Lewica podwyższyła go do 7 tys. zł ku radości seniorów i ich rodzin. Łatwiej mi się będzie teraz umierało.

Skaczmy razem!

Pogłoski o śmierci lewicy są przesadzone – przekonują siebie i swych wyborców liderzy lewicy. Pomimo że Nowa Lewica osiąga notowania wyborcze na poziomie 6–7 proc., a Partia Razem poniżej 4 proc.

Takie notowania mogą uczynić Partię Razem opozycją pozaparlamentarną. Wtedy dyskusje o tym, czy wchodzić do rządu, czy nie, staną się bezprzedmiotowe.

Nowa Lewica ma większe szanse, aby przeskoczyć pięcioprocentowy próg wyborczy. Ale obowiązujący system przeliczania głosów na mandaty premiuje listy wyborcze osiągające wysokie, przynajmniej dwucyfrowe wyniki. Taka arytmetyka wyborcza sprawia, że popularni – lub przekonani o swej popularności – liderzy mniejszych partii decydują się na start z listy tych największych ugrupowań. Traktując je jako trampoliny wyborcze.

Już teraz poseł Paweł Kukiz, skłócony ze swą dotychczasową kaczyńską trampoliną, składa oferty konfederatom. Ci nie palą się do mariażu z politykiem wyśmiewanym w internecie jako „polityczna kurwa”.

Nie wiemy dziś, czy Polska 2050, po rozwodzie z PSL-em, spróbuje samodzielnego startu, czy zasili pojemną ideowo Koalicję Obywatelską.

Przed podobnym dylematem stanie za dwa lata PSL. Partia ta, niczym jemioła, zdolna jest ostatnio do przeżycia jedynie w związku z nowym popularnym partnerem politycznym. Być może PSL wystartuje w najbliższych wyborach razem z konfederatami lub secesjonistami z PiS-u.

Dla Nowej Lewicy byłby możliwy i efektywny sojusz wyborczy z Koalicją Obywatelską w jednomandatowych wyborach do senatu. Kiedy obie partie wystawią kandydatów akceptowanych przez ich elektoraty.

W wyborach do sejmu wyborcy głosują również na programy wyborcze. Wtedy wspólna lista Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy grozi tej ostatniej pożarciem przez większego koalicjanta. Tak stało się z Nowoczesną, z lewicowcami Barbary Nowackiej, z zielonymi.

Lewica polska skazana jest żywot pozaparlamentarny lub odnowienie sojuszu wyborczego wszystkich jej ugrupowań.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk już teraz zachęca liderów partii Razem do przyszłej koalicji. Mamy bliskość programową, różnice są w politycznej taktyce – przekonuje.

Ale przez najbliższe dwa lata Nowa Lewica i Razem będą przede wszystkim udowadniać swą lewicowość i otwarcie na współpracę z mniejszymi lewicowymi partiami, stowarzyszeniami, związkami zawodowymi. A dopiero potem montować wspólne listy wyborcze.

„Wzywamy wszystkich liderów: bądźcie jak my, koniec z kłótniami, przestańmy patrzeć w przeszłość” – apeluje już teraz Gawkowski. „Musimy zrobić wszystko, żeby nie wróciła brunatna siła PiS i Konfederacji. Chcemy Polski otwartej, radosnej i uśmiechniętej”.

Re-wo-luc-ja!

Problem w tym, że dziś – i za dwa lata – sam antypis jako klej polityczny już nie wystarczy. Podobnie jak wypowiadana teraz przez liderów Nowej Lewicy litania projektów, projekcików, rozwiązań przynoszących ulgę wdowom, rodzicom wcześniaków, małżeństwom starającym się o program in vitro, gospodyniom przygotowującym wigilijną wieczerzę, rodzinom organizującym pogrzeby.

Polska lewica powinna przedstawić program swej V Rzeczypospolitej. Alternatywnej wobec wizji narodowo-katolickiej, konserwatywnej Rzeczypospolitej kaczyńskiej, liberalno-brunatnej Polski oferowanej przez konfederatów oraz liberalnej, „prosondażowej” Polski oferowanej przez ekipę Donalda Tuska.

Program Polski socjalnej, demokratycznej, laickiej.

Bez takiego programu polska lewica będzie zawsze miała wizerunek firmy jedynie remontującej usterki i awarie systemu politycznego i gospodarczego.

Partii o kompetencjach podwykonawcy.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Na razie liczne, niechętne Nowej Lewicy media złośliwie odnotowały, że prawicowy, bogaty PiS zorganizował swój kongres w szkolnej sali gimnastycznej w ludowej Przysusze. A mniejsza, uboższa materialnie Nowa Lewica swą konwencję programową zrobiła w wypasionym pięciogwiazdkowym Hotelu Bellotto w Warszawie.

Od czego zacząć zmiany w rządzie?

Rekonstrukcja Tuska

Donald Tusk zdaje się sądzić, że „rekonstrukcja rządu” to rodzaj terapii, która pozwoli mu ukoić niepokoje elektoratu i jednocześnie zdyscyplinować koalicjantów. Efekt, póki co, jest raczej odwrotny do oczekiwanego: fanatyczni wyznawcy spod szyldu „Silni Razem” nie kryją oburzenia, że wódz pozwolił na to, żeby „alfons został prezydentem”. Koalicjanci zaś – jak słusznie odnotował ostatnio prof. Marek Migalski – nie zajmują się pracą na rzecz rządu i państwa, tylko martwieniem się o swoje posady. Pomysł, żeby ową rekonstrukcję zapowiedzieć między pierwszą i drugą turą – kiedy naprawdę istotne było, żeby wszyscy sojusznicy Trzaskowskiego pracowali ze wszystkich sił na jego głosy – był dość absurdalny.

Bardziej absurdalna była jednak strategia sztabu wyborczego Rafała Trzaskowskiego – złożonego z partyjnych i rządowych aparatczyków – wykluczająca jakiekolwiek zdystansowanie się do bardzo niepopularnego gabinetu. Wynik I tury – 40 proc. dla kandydatów koalicji, 60 dla opozycji – wskazuje, że większość Polaków rząd Donalda Tuska odrzuca. Kosmetyczna „rekonstrukcja” nic tu nie zmieni. Zmiana musi zacząć się od premiera.

I, żeby nie było, mam nawet kandydata.

Szymon Hołownia.

I nie, nie żartuję.

Ma on bowiem cechę, której w dzisiejszej toksycznej atmosferze polskiej polityki nie sposób przecenić: to miły facet jest. Nie prezentuje właściwej dla pozostałych czynowników obecnej władzy zawziętości wobec opozycji.

Jako marszałek sejmu bywa ironiczny, ale nie jest to ironia, która zmierza do upodlenia czy choćby obrażenia kogokolwiek.

I – jak wskazują sondaże – spora część Polaków tego oczekuje. Co prawda sejm pod jego kierownictwem stracił już ten powiew świeżości, który sprawiał, że ludzie byli gotowi oglądać go w kinie z popcornem – ale po pierwszym roku funkcjonowania izba marszałka Hołowni była najpopularniejszym organem władzy RP, z 46 proc. zaufania (dla porównania – rząd miał 38,5, a partie polityczne 13 proc.). I tak, wiem, że sam Hołownia w niedawnym sondażu SW Research dla „Rzeczpospolitej” wychodzi miernie – 28 proc. ocen dobrych, 44 proc. złych, 20 proc. dostatecznych – ale pytanie brzmiało: „Jak ocenia Pani/Pan dotychczasową działalność polityczną Szymona Hołowni?”. Co może sugerować, że chodzi o skuteczność.

Rys. TOMASZ WIATER

A skuteczność marszałka sejmu najczęściej sięga tak daleko, jak pozwala mu sejmowa większość, z zasady kontrolowana przez premiera.

Moment zaprzysiężenia prezydenta to jeden z tych, w których marszałek może wykazać się polityczną niezależnością. Wydarzenie – normalnie stricte ceremonialne – w obecnej pojebanej rzeczywistości może potoczyć się na różne sposoby. W rękach Hołowni spoczywa prawdziwa decyzja. Ze strony Platformy – jak niedawno donosiła „Rz” – bardzo silne są naciski, żeby marszałek zawiesił posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, nie przyjął przysięgi od Nawrockiego i sam wszedł w buty p.o. prezydenta. Donald Tusk napisał ostatnio – w cokolwiek delfickim stylu – że przed liderami Koalicji 15 X „poważna próba” i wezwał ich, żeby „jeśli nie wiedzą, jak się zachować, to na wszelki wypadek zachowali się przyzwoicie”.

Hasło „przyzwoicie” można w tym wypadku interpretować na różne sposoby – i tak też interpretują je Polacy. Sondaż IBRiS dla „Rz” z końca czerwca wykazał daleko idący podział. 30 proc. ankietowanych chciało ponownego przeliczenia wszystkich głosów; 31 proc. – tylko z komisji wymienionych w protestach wyborczych; a 37 proc. było generalnie przeciw liczeniu. Inny sondaż, zrobiony przez CBOS po ogłoszeniu wyniku drugiej tury, przyniósł zaskakującą poprawę notowań Państwowej Komisji Wyborczej: pozytywnie oceniło ją 64 proc. respondentów, co oznacza wzrost aż o 12 punktów.

W sumie – wygląda na to, że wyraźna większość Polaków jest przeciw organizowanej przez Giertycha i do pewnego stopnia wspieranej przez Tuska awanturze zmierzającej do podważenia wyniku wyborów.

Szymon Hołownia ma dziś okazję ukręcić tej awanturze łeb.

Brutalna prawda jest taka, że Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie. Teraz zadaniem szeroko pojętego antypisu jest niedopuszczenie do tego, żeby towarzysze Nawrockiego wygrali wybory parlamentarne. Jestem głęboko przekonana, że z premierem takim jak Szymon Hołownia – sympatycznym, niekonfrontacyjnym kolesiem, który nie stara się na każdym kroku wkurwiać i obrażać wyborców opozycji – szansa tego obozu na utrzymanie się u władzy byłaby zauważalnie większa.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 798b5f08a6

Polemizuję z Wołk-Łaniewską

Doceńmy Kontka

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Moja serdeczna przyjaciółka i towarzyszka broni Agnieszka Wołk-Łaniewska obróciła w perzynę matematyczny wywód dra Krzysztofa Kontka z SGH o wyższości wyborów starannie policzonych nad wyborami, w których dziwaczne anomalie biorą wręcz górę nad medianą. Mam zbyt poważne niedostatki wykształcenia, żeby wdawać się w ocenę wartości naukowej raportu dra Kontka. Mam jednak dość krytycznego chłopskiego rozumu, żeby sprawdzić jakość matematycznego wywodu na czarnej tablicy, na której białą kredą redakcyjny grafik zilustrował tezy swojej szefowej. Wśród licznych równań z potęgowaniem, pierwiastkowaniem, braniem w nawias i sprowadzaniem do wspólnego mianownika znalazłem mój ulubiony wzór na istnienie Boga. Białe esy-floresy na czarnej tablicy prowadziły konsekwentnie do wniosku, że wybory wygrał... Trzaskowski.

Wina Tuska

A przecież prawda jest taka, że Trzaskowski nie wygrał wyborów, tylko przegrał je Tusk.

„Trzask" pozostaje prezydentem stolicy i może sprawować ten urząd jeszcze długo (jeśli tylko PSL-owi uda się zmienić pisowską ustawę o dwukadencyjności włodarzy lokalnych). Tusk natomiast, w przeciwieństwie do „Bonżura", ma przed sobą niezmiernie krótką perspektywę zasiadania w fotelu premiera. Tusk jest absolutnym mistrzem w sztuce pozbywania się konkurentów we własnym obozie, natomiast nie potrafi zrzucić z siebie etykietki polityka dbałego o ciepłą wodę w kranie.

Rys. OBYWATEL JANEK

Kto jeszcze dziś pamięta „manewr Kidawy-Błońskiej" z pamiętnego roku 2010, kiedy po katastrofie samolotu z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie jedynym kandydatem z obozu rządzącego na wakujące najwyższe w państwie stanowisko był Radosław Sikorski, gość silny na tyle, że mógł zagrozić jedynowładztwu w obozie Platformy Obywatelskiej? Donald Tusk wpadł na szatańsko skuteczny pomysł partyjnych prawyborów, które pozwoliły osadzić na tronie prezydenckim totumfackiego Bronisława Komorowskiego…

W roku 2025 wydawało się, że jedynym kandydatem Platformy na prezydenta może być Rafał Trzaskowski, który w poprzednich wyborach prezydenckich uratował PO przed kompromitacją, jaką – wskazywały sondaże – byłby start Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, i w II turze zdobył zaszczytne drugie miejsce z 10 mln głosów. Przegrał z Andrzejem Dudą dosłownie „na żyletki". Ale Tusk wiedział, że „Bonżur" nosił w sercu niezasklepioną ranę z wyborów lidera PO po roztropnej rezygnacji Borysa Budki ze sprawowania tej funkcji. Chociaż Trzaskowski prowadził w wyścigu do stanowiska prezesa, i to raczej jemu, jako wiceprzewodniczącemu, w myśl statutu partyjnego należało się stanowisko pełniącego obowiązki – prawem kaduka na fotelu p.o. przewodniczącego Platformy zasiadł Donald Tusk, w owym momencie zaledwie szeregowy członek partii… Rychły awans z pełniącego obowiązki na pełnoprawnego lidera PO był oczywisty.

Tusk dla Trzaska jest uzurpatorem, Trzask dla Tuska był zaś najpierwszym kandydatem do odstrzału, ponieważ nie ma lepszej metody na uleczenie własnych wyrzutów sumienia niźli uziemienie pokrzywdzonego. Kiedy Tusk triumfalnie powrócił do Polski na białej kasztance, pierwszą jego czynnością było upupienie, a następnie anihilacja Campusu Trzaskowskiego, pierworodnego dziecka prezydenta Warszawy, drugą zaś marginalizacja Strajku Kobiet. Tuż przed wyborami prezydenckimi 2025 Tusk po raz kolejny zastosował dobrze już przećwiczony „manewr Kidawy-Błońskiej" i celem poszerzenia demokracji wewnątrzpartyjnej ogłosił w Koalicji Europejskiej prawybory z udziałem Radosława Sikorskiego, kandydata na prezydenta docenionego o jakieś 10 lat za późno. Dla Trzaska droga od prawyborów do wyborów nie była usłana różami.

„ – Premier Morawiecki był looserem w polityce zagranicznej. Teraz mamy Donalda Tuska, prawdziwego lidera – rozpoczął Trzaskowski. – Mój syn powiedział: sigma [silny i niezależny mężczyzna – red.]. Narzucamy swoje priorytety, teraz wszystkie oczy są zwrócone na Polskę. Potrzeba jeszcze jednego kroku. Wygrania wyborów prezydenckich" – sprawozdawała „Polityka" w tekście zatytułowanym „Campus Polska 2024. Alfa i sigma, czyli Trzaskowski i Tusk".

Konkurencyjnego samca alfa nie można tolerować, nawet jeśli jest się tylko sigmą. Pojawiając się na Campusie 2024, sigma złożył na czole alfy pocałunek śmierci. W owym momencie w sondażach Tusk zajmował pierwsze miejsce w konkurencji elektoratu negatywnego – ex aequo z prezesem Kaczyńskim.

Do sztabu wyborczego Rafała Trzaskowskiego wcisnął sigma swoich ludzi o twarzach, które już nam wszystkim trochę jakby się opatrzyły. Weterani platformerscy zrobili w kampanii wyborczej, co należało do ich obowiązków, ale ludzie z warszawskiego ratusza daliby z siebie dużo więcej.

Cud nocny

„Dzisiaj powołałem pełnomocnika, kancelarię mecenasa Jacka Dubois. Jutro w moim imieniu złoży do Sądu Najwyższego wniosek, żeby posiedzenie, gdzie będzie rozpatrywany mój protest wyborczy, było jawne" – zapowiedział w „Faktach po Faktach" dr Krzysztof Kontek.

Po kilku dniach zadzwoniłem do kancelarii z pytaniem, jak został przyjęty w SN protest wyborczy dra Krzysztofa Kontka. Odpowiedź była minorowa. Sąd pani prezes Manowskiej odrzucił wniosek kancelarii Jacka Dubois, toteż kwestia obecności dziennikarzy na sali rozpraw jest bezprzedmiotowa. Rozprawa potoczyła się w trybie utajnionym. Raport dra Kontka powędrował do kosza.

Decyzję SN pani Manowskiej trochę jakby usprawiedliwia Agnieszka Wołk-Łaniewska, pisząc: „bajdurzenie dra Kontka stało się źródłem prawdziwej ekscytacji dla wielu antypisowskich aktywistów", którzy dzięki niemu uwierzyli, że do odzyskania jest „315 tys. do 457 tys. głosów" – co oznaczałoby, że Trzaskowski jest prezydentem RP.

„Każdy zgłoszony przypadek nieprawidłowości w liczeniu głosów jest sprawdzany i analizowany. Ewentualne fałszerstwa są badane i będą ukarane. Protesty trafią do Sądu Najwyższego. Rozumiem emocje, ale zakładanie z góry, że wybory zostały sfałszowane, nie służy polskiemu państwu" – oto bardzo mądre i oględne słowa Donalda Tuska, zamieszczone na portalu X.

Ja osobiście zakładam jednak z góry, że wybory prezydenckie zostały sfałszowane. I co więcej, uważam, że takie moje rozumienie wydarzeń z 1 czerwca dobrze służy demokratycznej Rzeczypospolitej. No bo jak inaczej można objaśniać ten fenomen, który sprawił, że o godz. 21 prezydent stolicy Rafał Trzaskowski ogłaszał światu i święcił już swoje zwycięstwo, by za chwilę popaść w rozpacz z powodu poniesionej klęski? Różnica między triumfem i rozpaczą bierze się przecież stąd, że zwycięstwo Trzaskowskiego ogłoszone zostało na podstawie wyników badań ankietowych przeprowadzonych z udziałem reprezentatywnej liczby osób oddających głosy w wybranych lokalach wyborczych, a klęska ujawniła się dopiero po przeliczeniu i podsumowaniu realnych głosów.

Skąd więc ten nagły cud nad urną? Do godziny 21 tak, a przed godziną 24 dokładnie na odwrót? Sprawiły to, być może, modlitwy prezesa Kaczyńskiego. Bo po godzinie 21 Jarosław Kaczyński palnął do swojego ludu orędzie, w którym nawoływał, żeby nikt nie tracił nadziei.

I jak wyrocznia delficka trafnie przepowiedział, że „zwycięstwo przyjdzie do nas nocą"! Skąd Kaczyński wiedział, że tak się stanie? Czy wiedział z góry, że w jakimś, za przeproszeniem, Pcimiu Dolnym 200 tys. głosów oddanych na Trzaskowskiego przerzucono już do worka Karola Nawrockiego?

Żart prezesa

Powody, dla których Sejm Rzeczypospolitej nie powinien zaprzysiąc prezydenta elekta Karola Nawrockiego w pierwszym nadarzającym się terminie, są oczywiste. Koń jaki jest, każdy widzi. Wystarczy spojrzeć na kopyto, żeby stwierdzić, jak straszliwym prawym sierpowym dysponuje Karol Nawrocki. Przeszłość kibolska, uczestnictwo w chuligańskich ustawkach dla gorzej wykształconego elektoratu może nawet stanowić zaletę człowieka wskazanego przez Naród na prezydenta. Ale oczywiste wyłudzenie mieszkania od bezbronnego mieszkańca DPS, pogrążonego w alkoholizmie, jest już czymś, co prezesa IPN całkowicie jako prezydenta Rzeczypospolitej dyskwalifikuje. Polski nie może reprezentować ktoś, kim pogardzać będą wszyscy prezydenci z cywilizowanych krajów Europy, a przytuli jedynie prezydent Ameryki, znany miłośnik wrestlingu i wolnej amerykanki.

Były premier Leszek Miller rolę kandydata SLD w wyborach prezydenckich powierzył Magdalenie Ogórek, niewieście atrakcyjnej, lecz jakby pozbawionej duszy, co skutkowało katastrofą wyborczą SLD w kolejnych wyborach parlamentarnych. To był taki sobie żart starego człowieka odchodzącego na polityczną emeryturę. Podobnie dziś zachował się przedwcześnie postarzały prezes Jarosław Kaczyński, wystawiając kandydaturę nikomu nieznanego prezesa IPN do wyborów prezydenckich 2025. Może prezes tylko sobie żartował, ale lud ciemny kupił to całkiem na serio. Koncept Leszka Millera wywołał jedynie śmiech na sali, pomysł Kaczyńskiego zaowocował uznaniem przez Sąd Najwyższy ważności wyboru Karola Nawrockiego na urząd prezydencki. No i mamy teraz pasztet, jakiego świat nie widział od czasów imperatora Kaliguli. Koń „Iniciatus" ma zasiąść w Pałacu Namiestnikowskim...

Nie jestem pewien, czy ponowne i staranne przeliczenie głosów przyniosłoby zmianę miejsc na podium. Wiem natomiast, że istnieje matematyczna analiza rzetelności przeliczenia głosów w wyborach prezydenckich drugiej tury, wykonana z własnej woli i na koszt własny przez dra Krzysztofa Kontka, krakowskiego specjalistę od statystycznego poszukiwania anomalii w werdyktach jury wszelkich konkursów… muzycznych.

Tak, tak, kochany panie marszałku rotacyjny! – zwracam się niniejszym do Szymona Hołowni. Muzyka łagodzi obyczaje w Hongkongu. Nie powinien pan tak pochopnie oświadczać, że w dniu 6 sierpnia jako marszałek rotacyjny przyjmie przysięgę prezydencką od Karola Nawrockiego. Nawrocki zainstaluje się pod żyrandolem Pałacu Namiestnikowskiego, a potem rotuj się kto może?

Nie uważam, żeby raport połączony z protestem wyborczym uczonego w statystyce Krakowiaka był jakowąś „Ewangelią wg Kontka". Dr Kontek tylko wskazał palcem na 5543 „anomalii", w wyjątkowych jedynie przypadkach popełnionych na korzyść Karola Nawrockiego. Dlatego wraz kancelarią prawną Jacka Dubois domagam się ponownego przeliczenia wszystkich głosów, ponieważ jako człowiek wstępnie ochrzczony tudzież bezpartyjny i lojalny obywatel nie chciałbym modlić się do wybranego przez Naród fałszywego bożka, czyli ewangelicznego bałwana. Amen.

JAKUB KOPEĆ

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Andrzej – podkreślmy: Andrzej – Duda nie jest największym nieszczęściem, jakie spadło na nasz piękny kraj. Jest prawie największym nieszczęściem. Większym jest chociażby Karol Nawrocki…

Jakub Żulczyk nie jest największym polskim pisarzem, chociaż wielkości mu nie brakuje. W przebłysku wielkości nazwał Dudę – Andrzeja, podkreślmy – debilem, dzięki czemu jeden i drugi zapiszą się w historii polityki i literatury. Żulczyk chwalebnie, Duda niesławnie.

Niedawno Duda – Andrzej – powiedział był: „Ja już kończę moją drugą kadencję. Jestem zwolennikiem innych rodzajów energii odnawialnej. Ja nie jestem zwolennikiem wiatraków na lądzie. Bardziej się liczy dla mnie krajobraz niż obserwowanie wszędzie stojących wiatraków. Można się ze mną zgadzać, można się ze mną nie zgadzać".

„Ja, ja, dla mnie, ze mną, ze mną" – pięć egotycznych zaimków w pięciu zdaniach. No i klasyczny Dudowy debilizm: dla głowy polskiego państwa bardziej się liczy krajobraz niż ceny energii elektrycznej dla wszystkich obywateli tego państwa.

W cytowanej wypowiedzi jedno zdanie napawa nieskończonym optymizmem i szaleńczą radością. Brzmi ono tak: „Ja już kończę moją drugą kadencję".

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 798b5f08a6

SŁOWO CZERWONE

Umieć przegrywać

Między Nawrockim a Giertychem

Twarzą Koalicji Obywatelskiej jest teraz Roman Giertych, założyciel Młodzieży Wszechpolskiej i były lider Ligi Polskich Rodzin. On też pełni rolę Katona, który oskarża każdego, kto podpadnie Tuskowi i jego partii. Związek między premierem a Giertychem wzmacnia fakt, że były działacz skrajnej prawicy jest adwokatem rodziny Tusków. A od niedawna członkiem Platformy Obywatelskiej.

Wiarygodności nowemu Katonowi ujmuje sprawa Polnordu – firmy, z której wyprowadzono ponad 70 mln zł. Wprawdzie prokuratura umorzyła śledztwo przeciw Giertychowi, ale uzasadnienie tego postanowienia dyskretnie utajniła. Po jego ujawnieniu okazało się, że zawinił kierowca i ochroniarz Giertycha, a sam adwokat jest niewinny, bo on tylko całą operację wyprowadzenia funduszy obsługiwał prawnie, za co przytulił, bagatela, 5 mln zł. Przywodzi to na myśl tekst jednego z czołowych polityków PO, który tłumaczył koledze, na którym ciążyły zarzuty, że „póki rządzimy, nic nam sądy nie zrobią”.

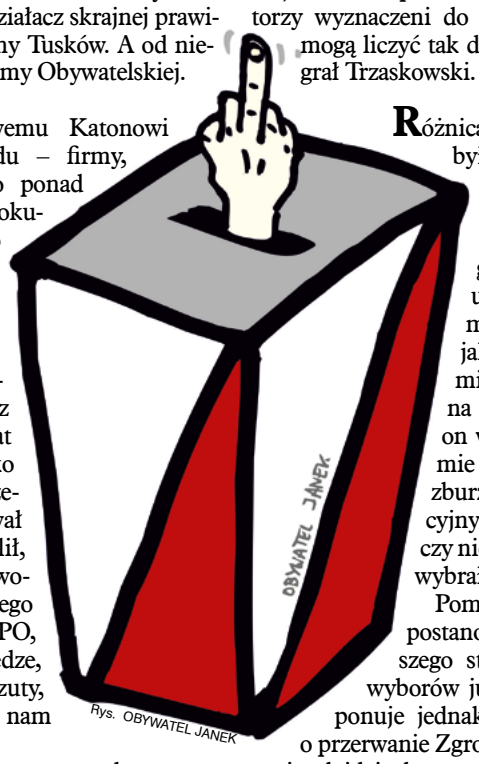

Rys. OBYWATEL JANEK

Powstała w ten sposób nowa zasada prawna: „Czyja władza, tego prokuratura”.

Obecnie zadaniem uniewinnionego Romana jest podważanie – a najlepiej obalenie – wyników wyborów prezydenckich. Pewna liczba nieprawidłowości to przy tak dużej skali operacji norma. Protesty wyborcze były, są i będą. Jednak ich obecna skala nie uzasadnia przypuszczenia, że wybory zostały sfałszowane. Stąd wysnuta przez Giertycha teza, że mieliśmy do czynienia ze spiskiem nazioli. Ale to są brednie – a mówiąc grzecznie: niczym nieudokumentowane insynuacje. Pobieżne przejrzenie protestów wykazuje, że pomyłki zdarzały się tak na korzyść Nawrockiego, jak i Trzaskowskiego. Pomysł, że głosy policzą prokuratorzy, to wręczenie olbrzymiej władzy w ręce władzy wykonawczej i odebranie jej władzy sądowniczej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że prokuratorzy wyznaczeni do liczenia przez Bodnara mogą liczyć tak długo, aż wyjdzie, że wygrał Trzaskowski.

Różnica między kandydatami była tak mała, a napięcie między stronami konfliktu tak wielkie, że gdyby wybory wygrał Trzaskowski, PiS urządzałby pewnie nie mniejsze rozróby. Ale jako partia opozycyjna nie miałby siły, żeby postawić na swoim. Tusk ma – i to on wraz z Hołownią podejmie decyzję, czy ostatecznie zburzyć porządek konstytucyjny i zaufanie do państwa, czy nie. Trzymam kciuki, żeby wybrał „przyzwoicie”.

Pomysł niepublikowania postanowienia Sądu Najwyższego stwierdzającego ważność wyborów już upadł. Giertych proponuje jednak, żeby złożyć wniosek o przerwanie Zgromadzenia Narodowego, zanim dojdzie do zaprzysiężenia nowego prezydenta. Zrywanie sejmów ma swoją niechlubną tradycję – a w obecnej konstelacji politycznej może się okazać, że nie znajdzie się większość, która za takim wnioskiem zagłosuje, czyniąc Szymona Hołownię interrexem.

Dziwnie się czuję, broniąc prawomocności wyboru kogoś takiego jak Karol Nawrocki: gość, którego oskarżono o wszystko poza gwałceniem wiewiórek, który w dodatku jest skrajnie prawicowym nacjonalistą.

Ale stając po stronie takiego indywiduum, staję po stronie zasad gry, na które się umówiliśmy. Wynik wyborów kontroluje władza sądownicza, a nie wykonawcza (prokuratorzy). Nawet jeśli trudno być skutecznym, nie łamiąc prawa, jak narzeka Donald Tusk. Bo słusznie ten sam Tusk zauważył, że w sytuacji niepewności najlepiej zachować się przyzwoicie.

Trzeba umieć przegrywać. O tym, że ludzie tę umiejętność cenią, świadczy ostatnie tąpnięcie w sondażach partii rządzącej. Kiedy premier po ogłoszeniu wyniku wyborów prezydenckich zapowiedział wzięcie się do roboty – ludzie nie wiedzieli jeszcze, że ta robota sprowadzi się do walki z opozycją. A w sondażach odpowiednio tę aktywność ocenili.

Bo przy rekordowym deficycie budżetowym w ochronie zdrowia zieje 20-miliardowa dziura, a mieszkań komunalnych wciąż nikt nie buduje. Jest oczywiście sposób, by i tak nie przegrać następnych wyborów parlamentarnych. Pozamykać lub pozbawić biernego prawa wyborczego wszystkich kontrkandydatów.

To oczywiście żart, ale pytanie, gdzie jest granica poszukiwania skuteczności kosztem łamania prawa, pozostaje otwarte.

PIOTR IKONOWICZ

Kongres-PiS-meni

Kaczyński wygrał kolejne wybory

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nastroje w Prawie i Sprawiedliwości panują dobre, bo będą mieli swojego prezydenta. Nie wszyscy chcą ten fakt uznać, ale pisowcy świętują, przynajmniej dopóki Nawrocki nie zerwie się im ze smyczy. Dudzie wystarczyło kilka lat, by przestać zasługiwać na przywilej rozmowy z Kaczorem. W partii wybrali nowego prezesa, którym tradycyjnie został Jarosław Kaczyński. Konkurentów nie miał. To już jego siódma kadencja. Choć wielokrotnie kokietował, że waha się, czy kandydować na szefa partii, tym razem również nie oparł się woli aktywu, który niemal jednogłośnie go poparł.

Niemal jednogłośnie, bo jeden śmiałek się zbiesił i nie dość, że na prezesa nie zagłosował, to nawymyślał mu na karcie do głosowania. Działacz i radny partii Kaczyńskiego wypomniał wodzowi m.in. „osiem lat robienia gały brukselskim dygnitarzom”. Był to chyba najciekawszy akcent kongresu PiS w Przysusze, który odbył się w ostatnią niedzielę.

Inkryminowany działacz ewidentnie należy do tego skrzydła, któremu nie po drodze z Unią Europejską, a bliżej do Konfederacji. Panu radnemu nie podobał się Morawiecki, o którym pisze do Jarosława: „Dopiero dziś zaczynasz dostrzegać, jakiego potwora sam stworzyłeś”. Były premier miał – zdaniem krytyka – okradać skarb państwa, a prezesa okręcić sobie wokół palca. Wywrotowcowi nie podobają się miesięcznice smoleńskie i podkomisja Macierewicza powołana do udowodnienia zamachu. Kaczyński w ten sposób ośmiesza pamięć o swoim bracie, co dawno już stwierdzili wszyscy poza pisowcami. Dostało się też nowemu prezesowi za „promowanie degeneratów jak Krasulski czy idiotek jak Paluch czy Gosiewska”.

„Miej honor i odejdź. Nie pogrążaj na wiele lat prawicy w nicości swymi kolejnymi genialnymi pomysłami” – wezwał Kaczyńskiego cichy bohater kongresu. Takie apele z wewnątrz partii to w PiS niezwykła rzadkość.

Choć się zdarzają. W ubiegłym roku do abdykacji wezwał prezesa prof. Andrzej Nowak, intelektualna podpora prawicy, a także promotor kandydatury Nawrockiego. Po przegranych wyborach parlamentarnych pisowski historyk wyliczał błędy, które popełniła partia pod wodzą jedynego dotychczas wodza. „Gotowość do odejścia jest miarą dojrzałości” – filozofował Nowak. Prezes mimo tych popiskiwań trwa i trwa mać.

Poza wspomnianym listem do Jarosława więcej niespodzianek nie było. Do grona wiceprezesów dołączyli Czarnek, Ziobro, Bocheński i Anna Krupka. Wiceprezesów jest już niemal tylu, co apostołów, bo aż 11. Widocznie prezes nie chce mieć przy sobie Judasza. Z listy apostołów Jarosława wypadł zaś Mariusz Kamiński, który zabunkrował się w Europarlamencie ze swoim przyjacielem Wąsikiem. Łaska prezesa na pstrym koniu jeździ. Czarnek zaś, który szykowany jest na szefa kancelarii prezydenta, jako wiceprezes PiS doda Karolowi Nawrockiemu tak podkreślanej w kampanii obywatelskości.

Co do tej obywatelskości, to w PiS panują dwie równorzędne wykładnie.

– To był nasz kandydat. To, że był obywatelski, to tego nie zmienia, to był kandydat PiS. I chciałem podziękować wszystkim tym członkom, a było ich naprawdę bardzo wielu w naszej formacji, którzy w tę kampanię się zaangażowali, na różne sposoby – mówił niedawno Kaczyński w Pułtusku. Na tę samą imprezę spóźnił się prezydent elekt i Kaczyńskiego nie słyszał, więc w swoim przemówieniu zachwalał własną bezpartyjność. A to dopiero początek zgrzytów na linii prezydent–prezes.

Jarosław Kaczyński wygłosił swoim zwyczajem długie przemówienie, w którym zdał sprawozdanie z dotychczasowych rządów i kreślił widoki na przyszłość. Szczególnie złowróżbnie zabrzmiały wynurzenia prezesa na temat praworządności i potrzeby zmiany ustroju Polski. Kaczyński uważa oczywiście, że w kraju nie panuje demokracja, gdy on nie rządzi, zaś prawo jest nagminnie łamane, gdy nadzoru nad nim nie pełni Ziobro.

– Ten naród, szanowni państwo, musi mieć własne suwerenne państwo. To państwo musi być nie tylko suwerenne, ale demokratyczne i praworządne. I ta praworządność i demokracja, która dzisiaj tak łatwo jest podważana i niszczona, deptana, musi być poprzez nowy ustrój tego państwa zabezpieczona. Tak, proszę państwa, musimy wmontować do naszego systemu konstytucyjnego takie zabezpieczenia – przemawiał nowy lider Prawa i Sprawiedliwości. – Naprawdę to jest sytuacja zatrważająca. Ta nasza demokracja i praworządność okazały się niesłychanie słabe i dlatego musimy to umocnić, musimy znaleźć takie rozwiązania ustrojowe, że żadna władza, także ta demokratycznie wybrana, bo oni zostali demokratycznie wybrani, chociaż oczywiście w niedemokratycznych warunkach tych wszystkich wsparć zakazanych z zagranicy. Otóż, że taka władza może wszystko – mówił z zazdrością prezes.

Panu Kaczyńskiemu gratulujemy, a „temu narodowi” współczujemy wyboru między dżumą a cholerą.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

PLURALIS MAIESTATIS

Dyzia Marzycielka

Dyzia i Donek w jednym stali domu...

Wakacje!!! Edukację zakończyłam mniej więcej wtedy, kiedy dinozaury popierdalały warszawskimi Alejami Jerozolimskimi, ale gdy słyszę ostatni czerwcowy dzwonek, to wciąż spada na mnie jakaś taka wielka szczęśliwość. Nic nie poradzę! Niedorzeczne to, a jednak prawdziwe. Jak to w życiu bywa.

Najnowszy sondaż IBRiS dla Onetu („Jak wybraliby Polacy, gdyby 29.06 odbywały się wybory parlamentarne?”) pokazuje, że ostatni dzwonek mógł zabrzmieć i dla niejakiego Donka. Mam poważne obawy, że obserwujemy dziś w Polsce ostatnie podrygi liberalnej demokracji, już niemal nieboszczki, bo partie demokratyczne wciąż nie wyszły ze swojej strefy komfortu — skomentowała wyniki sondażowe prof. Renata Mieńkowska-Norkiene, politolożka. Oj tam, oj tam – strefa komfortu ważna jest. A że dla wybranych? Pogonią libków z parlamentu, to umoszczą się w Brukseli. Sęk w tym, że my

możemy mieć Brauna i jego Konfederację Korony Polskiej drapiącą się po jajach w sejmowych ławach. Przeżyjemy? Przeżyjemy. Twardzi jesteśmy. Jednak każdy twardziel od czasu do czasu musi sobie pomarzyć. Czy to nie Che Guevara mówił: „Żądajmy niemożliwego”?

Zatem kładę się na zielonej trawie, licząc, że mnie kleszcz nie upierdoli, i niczym tuwimowski Dyzio Marzyciel wypatruję w chmurach partii, która wchodzi oto do sejmu z mocnym postanowieniem: na wieki wieków pozostać w opozycji! Czniać władzę, bo władza kompletnie demoralizuje, ale jednak mieć swoją lożę anarchii oraz sarkazmu i jechać po wszystkich równo. Od lewa do prawa – niczym dziadki z „Muppet Show”.

I żeby przedstawiciele tej partii z chmur – na przykład – procedowane ustawy czytali i na wagary sejmowe nie chodzili. Słuchali głosu ulicy, a nie tylko tego, co im furkocze w jelitach. I żeby byli odporni na wodę sodową, bogaci z domów albo tak bogaci duchem, żeby ich nadmiarowa forsa do przytulenia tu i ówdzie nie kusiła. I żeby kierowali się logiką – czyli potrafili zauważyć, że ustawy powinny być kompatybilne ze sobą oraz mieć chociaż jakąś nikłą szansę na wykonawstwo. I żeby Konstytucję RP znali na pamięć, a nie tylko nią machali przed telewizyjnymi i internetowymi kamerami. I żeby zbytnio paskudni nie byli, a nawet żeby byli ładni. I żeby słoma im z butów nie wychodziła ani żeby słoma im nie wychodziła z odbytów – jak to naszym libkom, bo to nadal jest to samo zielsko po tzw. omłocie, tylko przemieszczone wyżej.

Jaki piękny byłby wtedy świat! „Leżałbym sobie, jak leżę na tej murawie świeżej” (Tuwim)… I nawet Donka w tym jednym Domku RP można by było ścierpieć. Bo Brauna to jednak – nie! Nawet w marzeniach nie ma ideałów. A i z marzeniami, z marzeniami uważać trzeba… Pamiętacie, jak to w bajkach bywa? Bo co jeśli kaprawą wersją mojej Loży Szyderców i Partii z Chmur okaże się właśnie Konfederacja Korony Polskiej? W sumie to oni są dość jebnięci, żeby nie lecieć na kasę, władzę dla władzy, anarchizować po całości, rozłożyć w sejmie karimaty, przewalać tony papierów – tylko z tą logiką, kompatybilnością ustawową oraz nietykalnością Konstytucji RP byłby problem… Kurwa, ty już, Szolc, nie marz sobie na murawie, bo wykraczesz! I co wtedy? Ano wtedy Braun – zgodnie z obietnicami – kupi mi i innym Żydom bilety do Tel Aviwu. W jedną stronę! Ja to nawet, dziewczę stare a oszczędne, zbytnio płakać nie będę, ale profesora Hartmana trzeba będzie związać i jak tobół umieścić na pokładzie LOT. A jak to wiązać, gdy samemu ma się ręce unieruchomione w kaftanie bezpieczeństwa?

Tak, gratuluję, Donek – toś się, Premier, z przydupasami popisał!

Twoja Dyzia.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 798b5f08a6

Podli podżegacze

Piewcy mordowania ludzi

Rys. MARCIN CHUDZIK

Wybitny myśliciel Ludwik Wittgenstein stwierdził kiedyś, że granice naszego języka są granicami naszego świata. Narzędzia, także werbalne, jakimi się posługujemy, wyznaczają nasz horyzont myślowy. Dla człowieka zakochanego w tabelkach w Excelu, wszystko jest liczbą, dla kamerzysty – obrazem, dla trzymającego w ręku karabin – wszystko jest celem.

Łamiące wszelkie możliwe prawa międzynarodowe naloty Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran wykazały istnienie (także w Polsce) pewnego podgatunku homo sapiens, a mianowicie podłych piewców masowego mordu politycznego i podżegaczy wojennych. Dla fanów zoologii: gromada nekrofili, rząd okrutników, rodzina skurwysynów.

Często bez żadnego komentarza przytacza się stwierdzenia izraelskiej propagandy i jej najbardziej cyniczne i okrutne kłamstwa.

Zacznijmy od kwestii najbanalniejszej i powszechnej jak temperatura w polskich miastach powyżej 30 stopni w epoce zmian klimatycznych. Niemniej jednak powszechność czynu nie powoduje, że staje się on nawet odrobinę mniej nikczemny.

W stosunku do zabitych przez IDF irańskich wojskowych i naukowców używa się nader często słowa „likwidacja". Zlikwidować można brzydki zapach z ust Tic Takiem. Albo gniazdo szerszeni na strychu. Mówienie o likwidacji w stosunku do człowieka to czystej wody dehumanizacja, zepchnięcie do rangi przedmiotu, choroby, insekta. Nie przez przypadek każdy brutalny reżim mówi o likwidacji swoich przeciwników, co stanowi eufemizm zabijania. Trzecia Rzesza mordowanie chorych fizycznie i psychicznie określała mianem „likwidacji życia niewartego życia". Skądinąd dla rozlicznych polskich dziennikarzy życie Irańczyków jawi się jako zdecydowanie nie warte życia.

Mosad trzeba kochać i szanować

Wystarczy sięgnąć do „Gazety Wyborczej", tej niezłomnej obrończyni praw człowieka, pokojowego współistnienia narodów. Przy czym to drugie, rzecz jasna, gdy Rosja atakuje Ukrainę, bo przecież pamiętamy doskonale, że agresje amerykańskie na Irak i Afganistan, w których uczestniczyło polskie wojsko, były całkiem w porządku (choć ich niezliczone ofiary mogły na ten temat mieć inne zdanie, ale zmarli z Trzeciego Świata się nie liczą dla Zachodu, którego podobno jesteśmy częścią).

Zastępca redaktora „Wyborczej" Bartosz T. Wieliński był jednym z wielu głosów w chórze piewców skuteczności Mosadu i armii izraelskiej. 24 czerwca lead jego artykułu mówił sam za siebie: „Izrael rzucił ajatollahów na kolana. I to nie jest zła wiadomość". W tekście czytamy m.in., że Iran „dostał od Izraela bardzo srogie baty". Jest pochwała Mosadu i lotnictwa izraelskiego – ani słowa o 610 irańskich ofiarach śmiertelnych tych wspaniałych instytucji (najmłodszym zabitym było dwumiesięczne dziecko) i 4746 rannych.

„Wyborcza" przedrukowała także rozmowę dziennika „La Republicca" z izraelskim pisarzem Etgarem Keretem. Rzecz jasna stwierdził on, że atak na Iran był konieczny, bo ten kraj dąży do zbudowania broni jądrowej. Izrael ją co prawda ma, ale to jak wiadomo ikona demokracji w regionie, państwo nader odpowiedzialne i ostrożne, a nie jakiś podpalacz Bliskiego Wschodu. Nie wiem tylko, czemu pisarz złościł się na nowojorskiego kierowcę Ubera, który na wieść, że jest on Izraelczykiem, powiedział: „Pięknie. Wy dobrze się znacie na zabijaniu ludzi". Że co, że prawda w oczy kole?

Nowy wspaniały Izrael?

Podkreślę, że nawet w tym bagnie wyrosły pojedyncze kwiaty. Na docenienie zasługuje tekst Mariusza Zawadzkiego pod nieco mylącym tytułem: „Nie tylko Izraelczycy, ale cały Zachód powinny być wdzięczne Netanjahu". Autor – a mam na półce jego naprawdę dobrą książkę z 2012 r., „Nowy wspaniały Irak", opisującą realia okupowanego przez USA postsaddamowskiego państwa upadłego – pisze, nieco ironizując, o nielegalności działań Izraela i Stanów Zjednoczonych: „Udało się! Z pogwałceniem prawa międzynarodowego i z pomocą Beniamina Netanjahu, który odpowiada za zbrodnie wojenne w Gazie, ale jednak powstrzymaliśmy irański program atomowy. Pytanie – na jak długo?".

Abstrahując od kwestii rzekomego uzasadnienia nalotów – poza bombastycznymi słowami Trumpa brak przesłanek, że irański program wzbogacania uranu jakoś szczególnie ucierpiał – to Zawadzki ma bezsprzecznie rację: „Zaczyna się era Wielkiego Izraela. Dzięki pełnej hegemonii i bezkarności izraelska prawica ma nadzieję zrealizować swoje szalone, zbrodnicze plany".

ZUZ

Ukryta mistyfikacja

Bajki dla myślących

Była sobie raz wolność słowa...

Dawno, dawno temu, nie za siedmioma górami, a na ul. Mysiej w Warszawie, nie za siedmioma rzekami, a naprzeciw Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, stał budynek oznaczony tabliczką: „Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk". Pracowali w nim zatrudnieni przez ludowe państwo ludzie, których jedynym zadaniem było działanie uczciwie i precyzyjnie określone w samej nazwie tej instytucji.

Fakt, było to działanie w tym sensie uczciwe, że odbywało się na podstawie obowiązującego wtedy prawa, i jak najbardziej jawne – ale jednak paskudne, bo gwałcące wolność słowa. Cenzura rzecz wredna – bo służyła łamaniu prawa człowieka do pełnej i rzetelnej informacji – oraz niedemokratyczna, delikatnie mówiąc. Cenzorzy eliminowali z publicznego obiegu artykuły, książki, audycje radiowe, sztuki teatralne i filmy, niosące niepożądane przez władze treści, jeszcze przed ich upublicznieniem – albo, niestety, wykreślali co najsmakowitsze kawałki. Mieli za zadanie działać według dostarczonej im przez pracodawcę instrukcji cenzorskiej oraz także z własnej inicjatywy. Mieli bowiem chronić obywateli przed wrażą polityką i zgniłą imperialistyczną i kapitalistyczną ideologią. Trzeba przyznać, że

jako skutek uboczny istnienie cenzury przyczyniło się do rozkwitu inteligencji twórczej, która musiała, jak przystało na inteligencję, inteligentnie przystosować się do istnienia cenzury. Zamiast po chamsku, prymitywnie walić z grubej rury, twórcy tworzyli subtelnie zakamuflowane wieloznaczne treści.

Szczególnie w tych warunkach kwitła twórczość satyryczna i kabaretowa.

Cenzorzy natomiast wiedzieli, że jeśli będą puszczać jawnie niedozwolone czy choćby niepożądane treści, to z roboty polecą – i nie mieli pewności, jak daleko lecieć będą. Sami jednak treści raczej nie tworzyli – nie pisali artykułów, nie realizowali programów telewizyjnych czy radiowych.

Ówczesna inteligencja – jak wiadomo – cenzury nienawidziła. Stefan Kisielewski pisał o cenzurze: „Oczywiste jest, że nasza instytucja, zajmująca się kastrowaniem, przeinaczaniem czy usuwaniem w całości cudzych tekstów, nieraz politycznie całkiem niewinnych, nie ma nic wspólnego z czynnościami cenzury, pod której nazwę się podszywa. Jest to zupełnie co innego: działająca tajnie, bezprawnie i bezapelacyjnie fabryka fałszywych tekstów, wielka, a ukryta przed publicznością mistyfikacja".

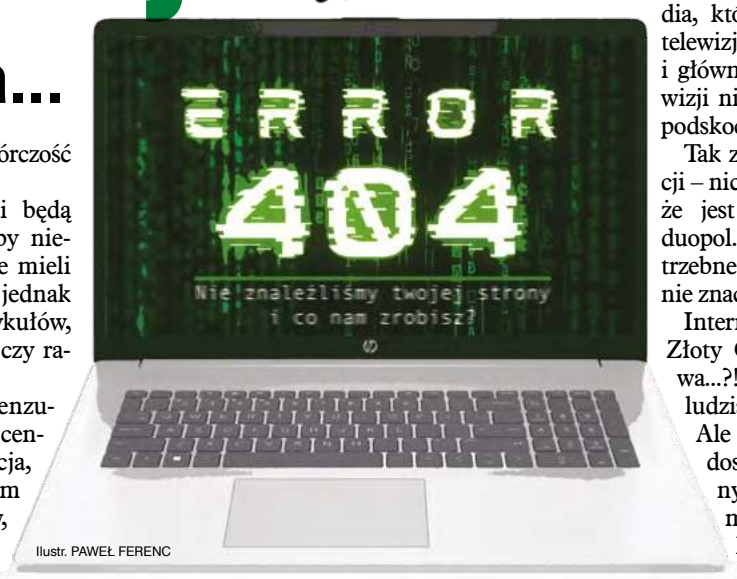

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ale przyszedł czas przełomu. Naród pozbył się znienawidzonej instytucji. Zamiast ulicy Mysiej powstał Skwer Wolnego Słowa, a cenzurę raz na zawsze zlikwidowano. Huraaa! Nie ma już cenzury! Niech żyje wolność słowa!

I to mogłoby być szczęśliwe zakończenie tej bajki, gdyby nie to, że twórcy nowego systemu uznali, że nie da się żyć bez bajki, tak jak nie da się żyć bez cenzury.

Napiszmy nową bajkę – pomyśleli ideologowie kapitalizmu – bo każdy system potrzebuje bajki (albo bujdy, ściemy i mistyfikacji) i żaden system bez cenzury się długo nie utrzyma. Wolność słowa? Komu to potrzebne...? Co innego wolność dla biznesu... O! To oczywiście tak. Czy mamy być aż tak głupi, żeby w centralnym miejscu stolicy stawiać budynek i instytucję cenzury jak tarczę strzelniczą dla wkurzonego ludu? Zróbmy to sprytniej: sprawmy sobie czapkę niewidkę. Niech będzie niewidzialna. Jak pomyśleli, tak zrobili.

Od tej pory niech sobie każdy gada, co chce. A nam przecież chodzi o kasę i władzę, która nam ją zabezpiecza. Bierzmy media! Zróbmy media prywatne. Będzie ich tyle, że żadne nie utrzyma się wyłącznie ze sprzedaży informacji i publicystyki. Będą musieli sięgnąć po pieniądze z biznesu. Tak! Niech żyją głównie z reklam. Tych od rządu lub wprost od biznesu. To ich dostatecznie od nas uzależni. Nie będą przecież narzekać na firmę, która ich karmi swymi reklamami. Nie będą narzekać na rząd, który odżywia je płatnymi kampaniami medialnymi. A przecież także nie będą występować przeciw kapitalizmowi, którego są częścią, prowadząc swe medialne biznesy.

Wszystkich dziennikarzy, publicystów i innych twórców dopilnuje redaktor naczelny, którego z kolei zdyscyplinuje właściciel. Nawet nie trzeba pisać instrukcji, jakie treści są zakazane. Nie będą tykać krytyki systemu. Cenzura wewnętrzna zadziała cicho i skutecznie. Teraz cenzorzy nie tylko będą skreślać teksty, ale sami będą je tworzyć. Naród nawet się nie zorientuje...

Władzy też można dać zabawkę – dajmy im media, które nazwiemy „publiczne". Niech mają telewizję. Ale to władza będzie ich właścicielem i głównym karmicielem. Żaden szef takiej telewizji nie podskoczy władzy ani nam. I nikt nie podskoczy szefowi.

Tak zwana demokracja – no... pozór demokracji – nic nam nie przeszkadza. Może nawet lepiej, że jest polityczna napierdalanka. Prawicowy duopol...? Cudnie! Wtedy wszystkim media potrzebne są jeszcze bardziej i kasy do mediów płynie znacznie więcej.

Internet – wielka nadzieja na wolność słowa. Złoty Graal pięknoduchów. Jaka wolność słowa...?! Ależ to działa tak samo. Indywidualnie ludziska w necie gadać mogą sobie wszystko. Ale spoko: tylko duże media internetowe są dostarczycielem szeroko rozpowszechnianych treści i odpowiednio dobranych informacji. A jeśli trzeba będzie, to chłopaki z silikonowej doliny odpowiednio podkręcą algorytmy. Ustawią nam internetowe bańki, które bez zagrożenia dla nas będą się wzajemnie zwalczać, przysparzając nam kasy. Bańki internetowe doskonale utrwalają ten system.

Tak się robi kasę i politykę, a w kapitalizmie pierwsze z drugim idzie w idealnej parze. Ważne, żeby cenzurę ukryć i wciskać kit narodowi, że wolność słowa to podstawa naszej złodziejskiej doktryny.

ANNA GRODZKA

REKLAMA

eprasa.pl 798b5f08a6

Niezbędna korekta

Prawdziwe urodziny Polski Ludowej

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

28 czerwca minęło 80 lat od powołania polskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Powstały na podstawie decyzji konferencji moskiewskiej (17–21 czerwca 1945 r.).

TRJN zyskał poparcie i uznanie dyplomatyczne wszystkich mocarstw koalicji antyhitlerowskiej. Był to prawdziwy początek Polski Ludowej. Istniejąca przed nim, od lipca 1944 r., tzw. Polska Lubelska była w istocie państwem przyfrontowym, rządzonym w znacznym stopniu przez radzieckie komisariaty wojskowe, a jej oparcie społeczne i uznanie międzynarodowe były bardzo ograniczone. W Polsce Ludowej niezmiennie datowano oficjalnie początek tego państwa na lipiec 1944 r. Korekta tej daty wydaje się się jednak w pełni uzasadniona.

Spóźnienie Okulickiego

O przekształceniu tej lubelskiej Polski w pełnowartościowe państwo zdecydowały trzy mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej na konferencji w Jałcie w lutym 1945 r. Tam też zapadły kluczowe decyzje w sprawie granic Polski – wschodniej i zachodniej. Decyzje te powzięto pod nieobecność – a nawet bez wiedzy – jakichkolwiek władz polskich; zarówno emigracyjnych w Londynie, jak też tych w Lublinie. Był to efekt zerwania w 1943 r. stosunków polsko-radzieckich, spowodowanego przez spór terytorialny o Kresy Wschodnie i dodatkowo o sprawę Katynia. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zdecydowały się wobec tego rozmawiać o odtworzeniu po wojnie państwa polskiego, jego granicach i rządzie w gronie mocarstw; ze Związkiem Radzieckim, nie tylko bez udziału czynnika polskiego, ale też bez jego wiedzy.

Decyzje w sprawie granicy wschodniej, korzystne dla ZSRR, zapadły na konferencji w Teheranie (listopad 1943 r.). O pozostałych granicach zdecydowano – co do zasady – w Jałcie, a formalnie już po wojnie w Poczdamie, tym razem w obecności delegacji polskiej. Ustalenie składu rządu polskiego – akceptowalnego zarówno dla Związku Radzieckiego, jak i aliantów zachodnich – powierzono w Jałcie specjalnej konferencji, którą mieli zwołać do Moskwy minister radziecki Wiaczesław Mołotow oraz ambasadorzy brytyjski i amerykański w ZSRR. Na konferencję zaproszeni mieli być przedstawiciele rządu polskiego w Lublinie oraz kół demokratycznych z kraju i zagranicy; idea była taka, iż rząd lubelski zostanie uzupełniony o przedstawicieli tych kół. Decyzja ta preferowała rząd lubelski jako podstawę przyszłego rządu narodowego, ale nakazywała go zreformować.

Zwraca uwagę, że w składzie uczestników konferencji moskiewskiej, zaproszonych przez organizującą trójkę, brakło przedstawicieli państwa podziemnego. Należycie reprezentowane były władze Polski lubelskiej, poważnie też emigracja londyńska w osobach byłego premiera Stanisława Mikołajczyka i ministra Jana Stańczyka. Natomiast w charakterze kół demokratycznych z kraju poproszono dwu krakowskich profesorów – czcigodnych, ale politycznie raczej drugorzędnych – i niezależnego socjalistę Zygmunta Żuławskiego.

W rzeczywistości kierownictwo Polski podziemnej – na czele z gen. Leopoldem Okulickim i delegatem Rządu na Kraj Janem Stanisławem Jankowskim – było tą konferencją żywo zainteresowane i chciało w niej uczestniczyć. Gotowe było w pełni zaakceptować decyzje Jałty. Szukało tylko bezpośredniego porozumienia z Moskwą; zachowało nadal konspirację wobec władz Polski lubelskiej i odmawiało kontaktu z nimi. Okulicki sądził, że przywódcy państwa podziemnego mają Moskwie do zaoferowania dużo więcej niż izolowani w społeczeństwie byli kapepowcy z PPR. Tę sytuację wykorzystał Stalin, który zlecił NKWD zwabić kierownictwo Polski podziemnej do Moskwy obietnicą rokowań i tam osadzić w więzieniu, wykluczając w ten sposób z udziału w tworzeniu polskiego rządu. Ich pojednawcze propozycje już go nie interesowały, swoje osiągnął w inny sposób. Okulicki spóźnił się o rok.

Ambicje Mikołajczyka

Podstępne uwięzienie kierownictwa państwa podziemnego było szokiem przede wszystkim dla PPR. Okazało się, że w rządzonym przez nią kraju NKWD panoszy się jak u siebie. Oburzony Gomułka oprotestował ten areszt u Stalina w dość ostrych słowach. Despota najpierw go zbeształ: „Wy przemawiacie do mnie jak szef wielkiego mocarstwa, którym nie jesteście. Rządzicie Polską tylko dzięki naszemu poparciu!” – ale później częściowo zgodził się z Gomułką w sprawie ujemnych skutków tej represji w świecie. Zwalił winę na szefa kontrwywiadu gen. Iwana Sierowa i obiecał odwołać go z Polski. Decyzji o areszcie i sądzie nad szesnastką oczywiście nie zmienił.

Znamienne, że najbardziej zdecydowanie protestował przeciw temu aresztowi Gomułka. Mikołajczyk milczał, gdyż miał Okulickiemu za złe, że wdał się w rokowania z Moskwą za jego plecami. Rządy aliantów zachodnich Stalin uspokoił zapewnieniem, że w procesie szesnastki zapadną łagodne wyroki. Dotrzymał obietnicy: surowo osądzono tylko Okulickiego i Jankowskiego. Obaj zmarli w więzieniu w podejrzanych okolicznościach. Kilku podsądnych uniewinniono, a większość wróciła do kraju przed upływem roku.

Mimo tych ograniczeń i niekonsekwencji powstanie TRJN kraj przyjął dobrze. Uchwalona wtedy amnestia znacznie rozładowała – choć jeszcze nie wygasiła – podziemie zbrojne. Nadzieje budził gomułkowski program polskiej drogi do socjalizmu. Przewidywał on na trwałe gospodarkę trójsektorową, chłopskie rolnictwo, prywatny mniejszy przemysł, państwowy – tylko wielki. W życiu politycznym wspólne rządy pięciu partii – trzech wielkich: PPR, PPS, PSL, i dwu mniejszych: SL i SD. Czyli taki ograniczony, ale istotny pluralizm.

Niestety ten system zachwiał się częściowo już w po roku. PSL Mikołajczyka zdecydowało się bowiem opuścić blok rządzących partii i startować w wyborach odrębnie, z nadzieją na zdobycie większości. Trauma po utracie Kresów, wciąż znaczna, mogła spowodować klęskę PPR. Taka zmiana sceny politycznej musiałaby spotkać się z reakcją ze strony ZSRR i jego ingerencją. PPS usiłowała to zerwanie bloku wyborczego PSL-owi wyperswadować, ale bez skutku. W tej sytuacji kluczowe stało się zapobieżenie ingerencji radzieckiej.

„Wybory będą robione” – powiedział Julian Hochfeld, wtedy główny ideolog PPS, w szczerej rozmowie z przyjaciółmi z akademickiej organizacji socjalistycznej. I dodał: „My tym sobie rąk brudzić nie będziemy, zrobi to PPR, ale za naszą zgodą. Ucierpi na tym demokracja, ale resztę uratujemy…”.

To też się nie udało. Rok później, w obliczu zimnej wojny, Stalin zdecydował się na uniformizację ustrojową państw zależnych – czyli na dostosowanie ich do radzieckiego wzorca. Nastał kilkuletni ciemny okres stalinizmu. Gomułka stracił władzę i na cztery lata trafił do więzienia. Jego koledzy w innych krajach tej strefy ginęli na szubienicach. On ocalał i na fali destalinizacji wrócił w glorii chwały. Ale to już inny temat – zresztą też wymagający korekty.

Łgarstwa IPN

Wracając wszakże do 80. rocznicy TRJN: konieczna jest nie tyle korekta, co oprotestowanie największego zakłamania historii Polski Ludowej. A mianowicie lansowanej przez partie posolidarnościowe – i ich tubę propagandową zwaną Instytutem Pamięci Narodowej – opowieści o tym, iż powojenne państwo polskie było w istocie rzeczy „sowiecką okupacją”.

W czasach PRL pojawiło się wiele nurtów opozycyjnych, antykomunistycznych. Żaden z nich jednakże nie nazywał tego państwa terenem okupowanym. Za bardzo to by się kłóciło z rzeczywistością. Dopiero po upadku Polski Ludowej takie oszczerstwo się pojawiło.

Państwo, od 1956 r. pod każdym względem wyróżniające się w radzieckim bloku autonomią, jako jedyne okazało się „sowiecką okupacją”. Nie Czechy, nie Węgry, nie Rumunia – tylko właśnie Polska. Poza partiami posolidarnościowymi i IPN nikt w Europie nie posunął się do takiego szkalowania własnego kraju.

Już to samo powinno zdyskwalifikować tę bzdurę w oczach opinii publicznej. Choć wiele innych faktów również.

Okupację realizuje się na dwa sposoby. Najczęściej okupant przejmuje w okupowanym kraju zarząd państwa i ustanawia swój. Lub pozostawia w części zarząd miejscowy, ale ustanawia nad nim swoją kontrolę oraz pilnuje właściwego doboru kierownictwa tego zarządu. Z powodzeniem obie te metody zastosowano w Niemczech po drugiej wojnie światowej. Sami Niemcy w czasie wojny w Polsce stosowali tylko pierwszą, drakońską, metodę.

Nic podobnego, nawet w przybliżeniu, nie miało miejsca w Polsce Ludowej i jej relacjach ze Związkiem Radzieckim. Spośród sześciu szefów rządzącej w tym okresie w Polsce partii tylko Bolesław Bierut może być traktowany jako emisariusz radziecki. Roman Zambrowski we wspomnieniach zanotował, że w powojennej PPR, choć pierwszym sekretarzem był Gomułka, „wszyscy wiedzieliśmy, że prawdziwym mężem zaufania Stalina jest Bierut”.

Zadanie dla lewicy

Gomułka rządził łącznie 16 lat i przez cały czas strona radziecka traktowała go nieufnie. Do tego stopnia, iż Stalin powiedział kiedyś do Chruszczowa: „Co ten Gomułka tak się na mnie patrzy, jakby chciał mnie zabić?”. „Wiesław” wywalczył dla Polski autonomię, jakiej nie miał żaden kraj tej strefy. Był sojusznikiem nielubianym, kłótliwym.

Gierek, na kronprinza desygnowany przez Gomułkę, wybrał inną metodę w relacjach z hegemonem: nie wykłócał się ani nie pouczał. Nawet schlebiał, ale w konkretnej polityce postępował wbrew radom i oczekiwaniom. Zamiast kolektywizacji otworzył w Polsce szeroko drogę do farmerskiego rolnictwa, zniósł dostawy obowiązkowe, uchylił ograniczenia rozmiarów gospodarstw, uchylił też limity dla inwestycji chłopskich w sprzęt i budownictwo. Na wielką też skalę rozwinął współpracę gospodarczą z Zachodem. Naród zachował to we wdzięcznej pamięci. Jak to IPN godzi z tezą o okupacji? A gierkowskie wielkie pojednanie z Kościołem i Watykanem, zniesienie ograniczeń w budownictwie sakralnym itp. – to też okupacja? Prymas Wyszyński inaczej to widział. W czasie strajku w stoczniach, zapytany przez Stanisława Kanię, czy zgodzi się spotkać z Gierkiem, z komunikatem prasowym i przy telewizji, odpowiedział: „Tak, spotkam się z panem Gierkiem, jemu ode mnie ta pociecha się należy!”. Jak to pasuje do modelu sowieckiej okupacji?

Jaruzelski, nieufnie traktowany przez kolejnych genseków przed Gorbaczowem, pozbawił Kulikowa okazji do właściwej pacyfikacji „polskiej kontrrewolucji” – jak marszałek ZSRR nazywał Solidarność – wprowadzając najłagodniejszy ze znanych stan wojenny. A na koniec okrągłym stołem otworzył drogę do zmiany ustroju. Czy to też ma być owa „sowiecka okupacja Polski”? Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać.

Giedroyć utrzymywał, że polska historia jest najbardziej w świecie zakłamana. Jeśli tak – to pomysł na sowiecką okupację bije wszelkie rekordy. Nie wymyślił go Giedroyć czy Jan Nowak Jeziorański. Wymyślili go najbardziej zajadli nienawistnicy Polski Ludowej; ci, którym taka kwalifikacja PRL najlepiej pasowała do uzasadniania decyzji o emigracji. Po upadku Polski Ludowej przywieźli swój pomysł do kraju i zarazili nim prawicę posolidarnościową, ośmieszając ją przy okazji.

Im szybciej ta legenda zostanie porzucona, tym lepiej dla narodowego stanu zdrowia psychicznego. Niestety legendy historyczne często okazują się zadziwiająco odporne na wymowę faktów i ustalenia nauki. Nawet te najbardziej bzdurne.

Ale lewica, jeśli ma pozostać w koalicji z PO, powinna wnieść odkłamanie historii PRL do wspólnego programu. Przynajmniej to.

M.Z.

eprasa.pl 798b5f08a6

Rys. OBYWATEL JANEK

NIE do gwiazd!

Pierwszy lot, ostatni rozsądek. Kulisy kosmicznej decyzji

Będzie słowo o Sławoszu – teraz, kiedy powoli przestaje być modne o nim mówienie. Ale mam do tego pełne prawo, bo pisaliśmy o nim wtedy, kiedy jeszcze modne to nie było w ogóle. I, pozwólcie Państwo, że nie będzie to nieskromne: to dzięki tygodnikowi „NIE" poleciał w kosmos.

Otóż w maju 2023 r., kiedy jeszcze nikt nie wiedział, kim Sławosz jest, napisaliśmy – zacytuję, a co! – tak: „O tym, czy dr Sławosz Uznański poleci w kosmos, stając się pierwszym astronautą (…), zadecydują czynniki polityczne i idące za nimi pieniądze. (…) Trzeba by dołożyć do budżetu Europejskiej Agencji Kosmicznej przynajmniej miliard złotych. (…) Chodzi o wydanie miliarda, który w perspektywie naszego pokolenia nigdy się nie zwróci. Usprawiedliwienie dla tego kroku jest takie: trzy miliony lat temu, kiedy nasz przodek przyjął pozycję wyprostowaną, nie było jeszcze pieniędzy. Wysiłek był całkowicie bezinteresowny. I dzięki temu my jesteśmy dziś tacy, jacy jesteśmy"*.

Być może to przypadek. A może nie. W każdym razie już w sierpniu 2023 r. rząd – własnowolnie! – podniósł polską składkę dla Europejskiej Agencji Kosmicznej do 360 mnl euro (1,62 mld zł; kurs z 2023 r.). W pakiecie dostaliśmy możliwość wysłania naszego człowieka na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS). Nikt nam oczywiście nie podziękował. Jak zwykle. I zawsze.

Miliard za uśmiech w kosmosie

Nie ukrywam, nie do końca wierzyłem, że to się naprawdę wydarzy. I kiedy 25 czerwca obudziłem się wraz z hejnałem mariackim, byłem jednak zaskoczony, że Sławosz opuścił atmosferę ziemską i osiągnął nieważkość już cztery godziny wcześniej.

Choć teraz mam wątpliwości i wyrzuty sumienia. Może nie mieliśmy racji!? Może 1,6 mld to jednak trochę za dużo, by oglądać uśmiechniętego chłopa w skafandrze i czarnych gumofilcach**, robiącego fikołki w bezwładności. Tyle wynoszą roczne budżety czterech dużych szpitali klinicznych, subwencje dla 160 gmin po 10 baniek albo budowa trzech, czterech nowoczesnych bloków energetycznych. Hmm? No właśnie.

Ale porzućmy te księgowe skrupuły, z których mogłoby wynikać, że po raz kolejny zostaliśmy skrojeni jak barany. Przyjrzyjmy się raczej historii – bo ta musi zostać opisana.

Rosyjska ruletka

Wyobraźcie sobie, że siedzicie w statku kosmicznym wielkości pralki wirnikowej Polar, obok jakiegoś Węgra i wyznawcy reinkarnacji z północnych Indii. Znajdujecie się 70 m nad ziemią – mniej więcej na wysokości 24-piętrowego bloku. Wasz pojazd to Crew Dragon, czyli Smok, a wszystko to stoi na szczycie rakiety nośnej Falcon 9, czyli Sokoła. Innymi słowy: siedzicie na Smoku unoszonym przez Sokoła – co brzmi jak stepowa psychodelia z domieszką tao.

Pod wami 489 ton piekielnie łatwopalnej mieszanki ciekłego tlenu i kerosenu. A technik z dyplomem z YouTube'a, co do którego macie nadzieję, że nie ma kaca, z agencji, której motto brzmi „jakoś to będzie", właśnie odpala pod wami zapalniczkę.

Całość odbywa się na miejscu zwanym przylądkiem Kanaweral, które w historii zapisało się jako plac budowy nieba i piekła jednocześnie.

Apollo 1 (1967). Test kapsuły z tlenem. Grissom, White i Chaffee zginęli żywcem zamknięci w blaszanej puszce. Dziś ich nazwiska noszą szkoły, ulice i przystanki autobusowe.

Challenger (1986). Po 80 sekundach od startu – kula ognia. Rakieta nie lubiła zimy. Uszczelka się obraziła. Kosmos wygrał. W sumie na przylądku Canaveral zginęło 13 osób. Żadna nie była Polakiem.

„No tak, Amerykanie giną w kosmosie, ale to przecież nie gwarancja, że ja będę miał więcej szczęścia. Rachunek prawdopodobieństwa to suka, a kosmos nie rozdaje ulgowych biletów Polakom – dumał zapewne dr Sławosz, mierząc się z odwieczną polską martyrologią, tym razem w wydaniu kosmicznym.

Od zagotowania wody do dokowania

Bystrzy czytelnicy tabloidów zauważyli zapewne pewną nieścisłość: Międzynarodowa Stacja Kosmiczna znajduje się zaledwie 400 km nad Ziemią. To jak z Pcimia do Włocławka z postojem na stacji benzynowej. Start rakiety nastąpił o 8:00 rano, a dokowanie do ISS odbyło się o 12:30… następnego dnia. 28 godzin podróży. Pierwsze 100 km Sławosz pokonał w 2 minuty i 30 sekund – czyli mniej więcej tyle, ile trwa zagotowanie wody w czajniku elektrycznym. Co się działo przez kolejne 27 godzin i 57 minut? W takim czasie można pokonać 300 km na rowerze, a tir może legalnie przejechać ponad 2 tys. km. Z Gdańska do Barcelony, ładując po drodze pomarańcze.

Kosmiczna podróż to nie ekspresowa dostawa spod znaku DPD. Dogonić stację kosmiczną pędzącą 28 tys. km na godzinę to balet, a nie sprint. Kapsuła z naszym Sławoszem, niczym tancerz w orbitalnym piruecie, okrążyła Ziemię 20 razy, pokonując dystans porównywalny z podróżą na Księżyc i z powrotem (800 tys. km). Dopiero po tym kosmicznym menuecie, na wysokości 400 km, doszło do spotkania. Prędkość wzajemna bliska zeru, dokowanie niczym pocałunek.

A te 28 godzin lotu? Po co? Astronauta to nie worek kartofli, nie wrzucisz go ot tak na orbitę. Nieważkość to dla organizmu szok: mózg w konflikcie z uchem wewnętrznym, mdłości, zawroty głowy, kosmiczna choroba lokomocyjna – turystyka ekstremalna. Do tego brak grawitacji puszcza krew samopas, twarz puchnie, nos zatkany, ciśnienie skacze. Astronauta jest niczym turysta po pierwszym dniu w Egipcie – zagubiony, odwodniony, pełen złudzeń. Dlatego lot na ISS trwa długo. Technologia ogarnia, ale człowiek słaby.

Pasztet z tubki i modlitwa

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna – to latające laboratorium warte ponad 150 mld dol. – nie ma hamulca ręcznego. Zbliżenie się do niej z kapsułą to nie żaden zwykły wjazd na miejsce. To dokowanie z porcelanowym serwisem na promie podczas sztormu. Lekkie drgnięcie, opóźnienie zapłonu, wściekły kurz z elektrostatyki i mielibyśmy transmisję na żywo, która trafiłaby prosto do sejmowej komisji śledczej.

Dlatego wszyscy święci z Houston wolą poczekać 20 godzin dłużej, niż zaliczyć tzw. drobne stuknięcie w antenę, po którym trzeba będzie ściągać pół załogi z orbity i zapraszać resztę na pogrzeb. Sławosz w tym czasie siedzi spokojnie w kapsule, je pasztet z tubki i robi, co może, żeby nie kichnąć na panel dokowania.

Polak zwiedza ISS

Kiedy dolecieli, przywitało ich międzynarodowe towarzystwo: Japończyk, Duńczyk, dwóch Amerykanów i trzech Rosjan***. Gospodarze – bladzi, wychudzeni, z fryzurami z czasów pierwotnej nieważkości. Uścisk dłoni odbywa się w powietrzu. Stacja wygląda jak połączenie warszawskiego metra z wnętrzem transformatora. Brak prysznica, brak prywatności, brak podłogi. Hałas? 24/7 – wentylatory, pompy, zasilanie. Dźwięk, który przypomina współlokatora z zatkanym nosem grającego na silniku Żuka. Temperatura? W środku jak w klimatyzowanym biurowcu, ale za oknem zima absolutna i piec hutniczy zarazem: od –150°C po stronie cienia, do +120°C w słońcu. I tak co 45 minut. Stacja okrąża Ziemię 16 razy na dobę – czyli co 90 minut wschód i zachód słońca. Najbardziej depresyjny Instagram w galaktyce.

Codzienność na orbicie

Wypróżnianie? Trzeba przywiązać się do kibla pasami. Kupa leci do specjalnego pojemnika, gdzie jest próżnia, wentylator i... amerykańska technologia. Spanie? W pionowych śpiworach przypiętych do ścian. Nie ma łóżka. Nie ma pozycji na boku. Jedzenie? Z tubki, z woreczka, z aluminiowego cudu technologii, które wygląda jak test na grypę. Praca? Sześć dni w tygodniu, około 10 godzin dziennie. Eksperymenty, badania, rozmowy z NASA. Czasem trzeba coś odkurzyć, przykręcić. Czasem złapać narzędzie, które odleciało do Japonii. Rozmowy? Głównie o tym, że jako dzieci marzyli, żeby być astronautami – i teraz siedzą na sedesie przypiętym do ściany w warunkach gorszych niż w Pendolino. Gadają o tym, że nie ma gdzie pójść na spacer. Nie ma jak się zgubić. Nie da się trzasnąć drzwiami, bo wszystkie są hermetyczne. I tak przez dwa tygodnie na ISS. Jedenaście osób w blaszanej rurze na orbicie – jak wigilia z teściami, tylko że bez ciasta i z próżnią.

Wielkie chlup!

Nie wiemy jeszcze dokładnie, kiedy Sławosz wróci na Ziemię, ale powrót planowany jest na połowę lipca. Gdy to czytasz, być może właśnie robi ostatnią rundkę po orbicie, macha Ziemi przez iluminator albo zastanawia się, czy uda mu się trafić do toalety z zamkniętymi oczami.

Powrót będzie spektakularny – nie na żadnym pasie startowym, tylko na spadochronach, w kapsule wielkości sejfu, prosto do wód Pacyfiku. NASA przewiduje punkt lądowania z dokładnością co do kilometra, choć z zewnątrz wygląda to, jakby gość po weselu zleciał w beczce z nieba i miał szczęście trafić w wannę.

Cała procedura to symfonia: odłączenie kapsuły, wejście w atmosferę przy kilkuset stopniach, otwarcie spadochronów i wielki „plusk!" do oceanu. W tym czasie kontrola lotu trzyma kciuki, a ratownicy w śmigłowcach ćwiczą swoje „welcome back, hero!". Czy wyląduje celnie? Tak. Bo jeśli coś się nie uda, dowiemy się pierwsi. Z głośnym „chlup" w CNN.

No i co z tego wszystkiego?

Czy to miało sens? Finansowo – pewnie nie, wbrew kłamstwom ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Za 1,6 mld zł straż graniczna mogłaby postawić ponad 200 pełnowymiarowych wież strażniczych, i jeszcze zostałoby na elektryczne skutery dla patroli. A FUS wymienić okna w całym ZUS-ie.

Ale przecież nie wszystko, co się opłaca, ma wartość – i nie wszystko, co ma wartość, się opłaca. Ten lot to demonstracja czegoś rzadkiego we współczesnym państwie polskim: odwagi, determinacji i ambicji, które nie mierzą się słupkami, zasięgami ani tabelką w Excelu. Czasem trzeba zainwestować nie po to, by się zwróciło – ale po to, byśmy wiedzieli, że jeszcze nas na to stać: na gest, na marzenie, na skok w nieznane. Bo najcenniejsze inwestycje ludzkości rzadko były kalkulowane – zwykle były ślepe, niepraktyczne i nieracjonalne, a jednak to one przesuwały nas do przodu.

I nawet jeśli ten lot nie przyniesie ani złotówki zysku – to może przyniesie dziecko, które właśnie teraz, patrząc w niebo, pomyślało: „ja też chcę".

Po orbicie – życie?

Co dalej ze Sławoszem, naszym nowym bohaterem narodowym? Czy teraz czeka go pomnik na rondzie w Chotomowie? Seria znaczków z jego twarzą i napisem: „POLSKA W KOSMOSIE (i z powrotem)"? A może zostanie twarzą nowej linii zup instant: „Orbitalna Jarzynowa z dodatkiem próżni". Do tego ketchup w tubce „KosmoPolo" z logo ESA? Niewykluczone. Może wyda bestseller: „489 ton ciszy", z przedmową Elona Muska i posłowiem Tomasza Lisa. Wyruszy na tournée po domach kultury – od Ełku aż po Żagań – z multimedialnym pokazem slajdów i kapsułą do pamiątkowych selfie. A potem?

Najpierw senat. Potem prezydentura. Hasło kampanii gotowe: „Ja już widziałem Ziemię z góry. I nie wyglądała jak wasze PIT-y". Choć możliwy jest także scenariusz alternatywny. Rozpije się na bankiecie fundacji astronomicznej. Zostanie zdemaskowany jako człowiek, który kiedyś pomylił Wenus z lampą uliczną. Zamieszka w Bieszczadach, zamilknie, zapuści brodę i zacznie pisać haiku. Spotkamy go raz na rok, w niszowej księgarni z działem „Astrobiografia i inne urojenia".

Jedno jest pewne: nic już nie będzie takie samo. Ani on, ani my, ani zupa pomidorowa w stanie nieważkości.

ROBERT JARUGA

* „Nad-Polak", „NIE" nr 20/2023, 19 maja 2023, s. 14, autor: Robert Jaruga.

** Buty Sławosza Uznańskiego wykonano z czarnej gumy butylowej, kevlaru i pianki termoizolacyjnej – są masywne, jednolite, odporne na pył, przecięcia i temperatury. Zintegrowane ocieplenie i chłodzenie cieczą sprawiają, że przypominają kalosze – bo funkcjonalnie nimi są. Problem w tym, że estetyka astronauty to dziś kwestia cywilizacyjna. W erze misji medialnych i marketingowej histerii wygląd to nie detal, lecz deklaracja. Czarne, toporne buty na tle białego kombinezonu to wizerunkowy strzał w stopę. Zamiast ikony przyszłości, mamy kosmicznego robotnika w gumowcach.

*** Tak, tak – na pokładzie ISS od kwietnia siedzi sobie trzech Rosjan: Kirył Pieskow, Siergiej Ryżykow i Aleksiej Zubrycki. Oczywiście o tym „drobiazgu" nasi dzielni „dostarczyciele kontentu" z mediów głównego nurtu milczą jak grób. I po co była PRL-owi cała ta instytucja na Mysiej, skoro dzisiejsi dziennikarze doskonale wiedzą, jak pisać, ale jeszcze lepiej – czego nie pisać. Cenzura? Niepotrzebna. Wystarczy redakcyjny zmysł samozachowawczy i trochę dobrze wpojonego refleksu.

WIEŚCI GMINNE i INNE

Warszawa w dżunglę się zamienia! Precz z betonem, niech żyje chwast! Władze miejskie ogłaszają triumfalnie, że na każdego warszawiaka przypada już PIĘĆ drzew (9 mln). Aż strach pomyśleć, co będzie, jak posadzą jeszcze jedno. Uduszeni zielenią będziemy skakać po gałęziach, żywiąc się korzonkami i jagodami. Marszałkowska wkrótce przypominać będzie Puszczę Białowieską (poważnie, taki jest plan). Raj dla wiewiórek, koszmar dla samochodów. Zielony absurd w pełnej krasie.

Zapewne dlatego do warszawskiego zoo sprowadzono dwie gorylice – Enhasę i Eniralę – znakomite specjalistki od wspinaczki drzewnej. Te dystyngowane istoty, krewniaczki z holenderskiego dworu, powitano z należnymi honorami: suszonymi morelami, daktylami i innymi delikatesami. Orzechy włoskie, zbyt plebejskie, zostały przez damy odrzucone. Warszawiacy, wstrzymując oddech, dostają lekcję, jak sprawnie wspiąć się na drzewo. Bo kto wie, kiedy ta umiejętność się przyda – choćby przy kolejnej podwyżce cen biletów albo podczas nagłego spotkania z niedźwiedziem paradującym po byłym Placu Piłsudskiego.

Na Placu Powstańców Warszawy, w samym centrum stolicy, powstał czteropoziomowy (podziemny) parking na 420 samochodów. Inwestycję zrealizowano w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego. Koszt – 85 mln zł – pokryła portugalska firma Mota Engil, która została operatorem obiektu. Parking świeci pustkami. Obłożenie sięga

eprasa.pl 798b5f08a6

ETYKA BEZBOŻNA

Bić czy nie bić

Kumu w mordę?

Chodzę sobie ja po mieście i czasem mnie kto zaczepi. Jeden podziękuje za felieton w „NIE", inny mi pod nogi splunie, a zdarza się i gorzej. Za to w internetach co rusz mi grożą mordy skuciem za szkalowanie narodu i matki najświętszej, Kościoła naszego katolickiego. Na razie morda cała, ale wszystko w swoim czasie. Zresztą do strachliwych nie należę. Sam bym pyski obił temu i owemu, ale jakoś nie umiem. Jeszcze by się odwinął? Swoją drogą to ciekawe, że tylu ludzi zapowiada, że kogoś tam obiją, a przecież to nigdy nie wiadomo, kto silniejszy i co z tej bijatyki w końcu wyjdzie. Jest pewność siebie w narodzie!

Tak w ogóle to przemoc ma dziś bardzo złą prasę. Zwykły żuczek nie może jej lege artis używać. No, chyba że w obronie własnej. A i wtedy musi uważać, żeby nie przekroczyć granic obrony koniecznej. A co jest tą granicą, to już określa w razie czego sędzia. Dość uznaniowo. Teoretycznie więc nie ma miejsca w systemie prawnym na legalne danie komuś w mordę, po pysku czy jak tam to zwał. Kwalifikuje się to jako pobicie i jeśli powody pobicia są dobre, to co najwyżej można dostać nieco mniejszą karę z powodu silnego wzburzenia.

Z drugiej strony nie ma niczego, czym można by pobicie drania jednego z drugim zastąpić. Oto ktoś obraził moją żonę albo ją, dajmy na to, uwiódł. Czy macie pojęcie, że wolno tylko słownie wyrazić swoją dezaprobatę, i to tak, żeby typa nie obrazić i godności jego delikatnej nie zszargać? A jak ktoś mnie okradnie, oszuka, obsobaczy, to wolno mi tylko iść do sądu. Przy czym jak działają sądy, to wszyscy wiemy. Śmieszny byłby sądowy spór o kłótnię i inwektywy sprzed dwóch lat. Pozostaje więc odpłacić pięknym za nadobne, choć nie zawsze jest taka możliwość.

Za zwymyślanie można zwymyślać. Ale za uwiedzenie żony? Też zwymyślać? Ot, kochaś żony się oddali albo tylko wzruszy ramionami. Albo zaśmieje się nam w nos. Chyba że sam ma żonę, którą by można mu uwieść. Tylko że one zwykle nas jednak nie chcą.

Właśnie ta straszliwa bezbronność poszkodowanego sprawia, że trzeba na powrót rozważyć moralny status bójki. Bo nie bardzo widać, co mogłoby ją zastąpić, gdy trzeba bronić czci, honoru i dobrego imienia. Ułomny to zresztą środek, bo działa wyłącznie wtedy, gdy jest się silniejszym od swojego krzywdziciela. Ale akurat w takim przypadku też jest niehonor, bo wszak „nie bije się słabszego". Okazuje się bowiem, że nie ma społecznej akceptacji dla tej jednej rzeczy, którą chce uczynić bijący, to znaczy dla sprawnego i szybkiego ukarania krzywdziciela i rozładowania własnej złości. Bójka uzyskuje społeczną aprobatę wyłącznie wtedy, gdy jest swego rodzaju pojedynkiem. Pojedynkiem z jako taką równowagą szans.

A to przecież jakaś amoralna bzdura! Bójka nie może być ani racjonalnym, ani etycznie dopuszczalnym środkiem ustalenia, kto ma rację w sporze. Nie ma tu nic „honorowego". Jeśli ktoś mnie obrazi, a ja chcę mu dać w mordę, to po prostu chcę mu się odpłacić, nie zaś „w honorowym pojedynku" ustalić, czy do obrazy doszło, czy nie. Bo przecież doszło!

A jednak istnieje coś takiego jak honorowy pojedynek, który ma dać satysfakcję skrzywdzonemu. Niestety, ta archaiczna (i zakazana dziś prawie wszędzie) forma rozwiązywania konfliktów ma tę zasadniczą wadę, że strona skrzywdzona może się wprawdzie zemścić za swoją krzywdę, ale równie dobrze może stracić życie lub zdrowie. Jedyna gwarancja, którą z racji pojedynku otrzymuje, to uznanie za człowieka honoru, który nie boi się bitki w obronie swego dobrego imienia. Może więc wyjść z pojedynku ze swym krzywdzicielem nogami do przodu, ale z honorem. Czyli jak facet wyrwie ci żonę, ty go wyzwiesz na pojedynek, on cię zabije i ożeni się z wdową po tobie, to i tak jesteś wygrany, bo wszyscy wiedzą, żeś może i rogacz nieszczęsny, chryzantemki od spodu wąchasz, twój zabójca w twoim łóżku posuwa twoją kobietę, ale nikt nie powie, żeś frajer. Śmieszne to wszystko i żałosne, czyż nie?

Istnieje tylko jedno rozwiązanie, które w jakiś bardzo skromny i ułomny sposób wprowadza przemoc do życia moralnego, nie wywołując przy tym istotnego konfliktu z prawem. Jest to przemoc zatrzymana w pół kroku, przemoc na wpół symboliczna. To są te wszystkie „wzięcia za fraki", szturchnięcia, popchnięcia i kuksańce. Fingują one i zastępują pobicie, przynosząc nieco podobny skutek w postaci upokorzenia winowajcy, który na takie potraktowanie zasłużył i się go doczekał. I faktycznie, zdarza się, że ludzie poddają się takim zabiegom, przyjmując należną im karę. Wtedy jest, jak należy. Niestety, bardzo często winowajca akurat nie ma ochoty swej winy uznać, a jeśli ma po temu fizyczne warunki, to popchnięty czy szturchnięty, rozpoczyna prawdziwą bójkę. I nieraz ją wygrywa.

Przemoc jest zła nie dlatego, że w ogóle nigdy jej zastosowanie nie jest sprawiedliwe. Nie ma czegoś takiego, jak absolutna nietykalność! Po świecie chodzą miliony takich, którym jak najbardziej należy się „w mordę". Problem z przemocą jest inny i polega na tym, że niełatwo ją egzekwować w sposób kontrolowany i przewidywalny. No i, co gorsza, bynajmniej nie zawsze (a raczej dość rzadko) pokrzywdzeni są silniejsi od swoich krzywdzicieli. I właśnie dlatego umówiliśmy się w rozwiniętych społeczeństwach, że nawet dranie są generalnie nietykalne. Nie tykaj drania, to i drań cię może nie tknie. Działa ta zasada jak cię mogę, ale trochę działa. W mordę jeża.

JAN HARTMAN

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Sąd idzie na urlop

Epopeja piątki z Hajnówki się nie kończy

25 czerwca w Sądzie Rejonowym w Białymstoku miała odbyć się ostatnia – przypuszczalnie – rozprawa aktywistów pomagających migrantom na granicy polsko-białoruskiej. Ale się nie odbyła. Zachorował jeden z najważniejszych i ostatnich świadków w tym procesie – pogranicznik z Dubicz Cerkiewnych.

Aspirant J.S. to doświadczony funkcjonariusz. Wcześniej walczący z gangami przemytników migrantów, potem delegowany bezpośrednio do ochrony granicy RP z Republiką Białorusi. Według wiewiórek to „uczciwy gość, który nie siedział w żadnych układach", więc można założyć, że ta jego absencja na planowym posiedzeniu sądu nie jest grą na czas ze strony prokuratury.

Co prawda, na tydzień przed rozprawą w Białymstoku widziano go w dobrym zdrowiu w innym sądzie – z powodu pewnie podobnej, lecz mniej głośnej sprawy – ale przypadki przecież chodzą po ludziach. Chłop w momencie pisania tego tekstu miał wylądować w szpitalu, a sędzia Adam Rodakowski uparł się, że bez przesłuchania tego konkretnego funkcjusza nie zamknie procesu. Wychodzi na to, że zawieszona rozprawa odbędzie się dopiero pod koniec sierpnia lub nawet na początku września, gdyż większość sędziów w Polsce planuje na lato urlopy – w tej liczbie też Rodakowski.

Tak na marginesie warto wspomnieć, że biedna i wyludniająca się od lat

gmina wiejska Dubicze Cerkiewne ma ostatnio swoje pięć minut w mediach. W pierwszej turze wyborów prezydenckich zwyciężył w niej Sławomir Mentzen, a w drugiej – co nie było niespodzianką – Karol Nawrocki. Wikt i opierunek mają tu bowiem szweje z całej Polski,

pracujący z policjantami i pogranicznikami na granicy. I to oni w miejscowych lokalach wyborczych zrobili dobrze prawicy. Autochtoni – ani emeryci z Warszawy, którzy na starość powykupowali w gminie działki budowlane – nie byli w stanie liczebnie pomóc Rafałowi Trzaskowskiemu.

To zresztą jeden z wyżej wzmiankowanych trepów dostał właśnie prokuratorskie zarzuty za narażenie zdrowia i życia nie tylko migrantów, ale także żołnierzy i funkcjonariuszy SG razem z nim patrolujących pogranicze. Prokuratura Okręgowa w Warszawie poinformowała, że oddał on bez potrzeby 12 strzałów z broni służbowej. Było to w marcu ubiegłego roku, a więc trochę po wydarzeniach w placówce SG w tych samych Dubiczach Cerkiewnych. Według Prokuratury Okręgowej w Siedlcach – która, przypomnijmy, na polecenie Prokuratury Regionalnej w Lublinie, bada przestępstwa mundurowych w czasie kryzysu migracyjnego na polsko-białoruskim pograniczu – pogranicznicy z tej jednostki spalili w beczce dokumenty i telefony osobiste „ludzi w drodze".

Ostatnia aktywność Bąkiewicza i nacjonalistycznej szurii na granicy polsko-niemieckiej to nie przypadek. Tak będzie do kolejnych wyborów parlamentarnych w 2027 r. Fioł antyemigrancki, który grał mocno w wyborach na korzyść Karola Nawrockiego, znalazł – bo jakżeby inaczej – swoje ofiary również w osobach oskarżonych w procesie piątki. A także tych, których sprawa przy okazji została ujawniona.

Przed drugą turą wyborów prezydenckich media Tomasza Sakiewicza – Republika i niezalezna.pl – opublikowały bowiem tajną dokumentację z postępowania o pomoc migrantom, jakie toczy się wydziale zamiejscowym Prokuratury Krajowej ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej w Lublinie. Jedna z osób stojąca przed sądem w Białymstoku „przechodziła" też w śledztwie lubelskim, które idzie w kierunku postawienia zarzutów tak słynnym i znienawidzonym przez prawaków nazwiskom jak Kramek, Suchanow i Kasprzak.

– Prokuratura w tym zakresie powinna była wnioskować o utajnienie procesu. A tak wypłynęły materiały ze sprawy lubelskiej i służą polityce. Obrzydliwe! – nie kryje absmaku nasz rozmówca z resortu sprawiedliwości.

Pytanie, jak to się mogło stać, nie nastręcza żadnych problemów z odpowiedzią. Do procesu piątki jako strona społeczna został dopuszczony adwokat reprezentujący zarówno Ordo Iuris, jak i Stowarzyszenie Marsz Niepodległości. Głosu ów człowiek na procesie nie zabiera, ale za zgodą sądu ma dostęp do akt. Wszystko wskazuje więc na to, że prywatnym telefonem sfotografował on część dokumentacji procesowej, by je potem przekazać podwładnym Tomasza Sakiewicza. I żeby ci mogli się pochwalić przed konsumentami ich kolejnej informacyjnej sensacji wyświechtaną i coraz bardziej skompromitowaną formułą dziennikarską: „Dotarliśmy do...". Chuja dotarliście, dostaliście to wszystko na talerzu.

JMP

ledwie 20 proc., bo przyjezdni nie rzucają się tłumnie na miejsca za 90 zł za dobę. Portugalczycy są zawiedzeni. Domagają się, by miasto zrobiło porządek: zlikwidowało konkurencyjne miejsca w okolicy i uruchomiło straż miejską do wystawiania mandatów i odholowywania niepokornych. Ktoś tu chyba bardzo źle zrozumiał, czym jest partnerstwo.

▮ Weszło w życie rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych i administracji regulujące, co mają robić wójtowie, burmistrzowie, prezydenci miast, starostowie i wojewodowie na wypadek wojny. Dokument jest równie rozsądny jak cała polska polityka zagraniczna nastawiona na przeniesienie ukraińskiego konfliktu na resztę Europy. Minister Tomasz Siemoniak przedstawia „unikatowy" plan dla bombardowanego społeczeństwa: ewakuacja na zachód! Dokąd dokładnie, nie wiadomo – najlepiej pociągami, w pierwszej kolejności kobiety i dzieci, z wałówką wystarczającą na 72 godziny.

▮ Jak aktor na scenie, jak kapitan na tonącym okręcie, 48-letni pracownik magazynu Amazona w Sosnowcu zmarł na stanowisku pracy. Ciało znaleziono około czwartej nad ranem. „Gazeta Wyborcza" donosi, że leżał z głową w kałuży krwi, choć trudno nie zauważyć, że redakcji zdarza się podkręcać dramaturgię. Prokuratura studzi emocje: zgon z przyczyn naturalnych, mężczyzna „po prostu się przewrócił". No cóż, Amazon w Sosnowcu już nigdy nie będzie „po prostu taki sam", choć taśmociągi zapewne nie zwolnią ani na sekundę.

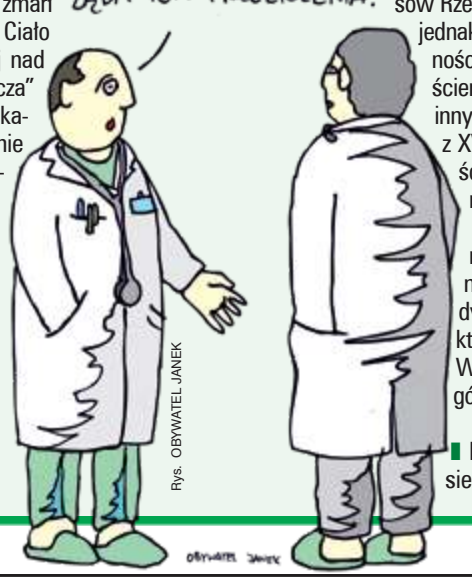

Rys. OBYWATEL JANEK

▮ Szczecin, miasto znane z morskiego klimatu i braku kasy, postanowiło postraszyć skarb państwa. Poszło przed sądy. Żąda 111 mln zł za dokładanie do pensji nauczycieli. Subwencja oświatowa, jak co roku, okazała się fikcją. Prezydent Piotr Krzystek lamentuje, że tak dalej być nie może. Ministerstwo Edukacji, z charakterystyczną dla siebie logiką, odpowiada, że przecież samorządy mają inne źródła dochodów. Na szczęście mamy niż demograficzny, więc wkrótce problem sam się rozwiąże. Nauczyciele będą mogli wreszcie zająć się czymś pożytecznym, na przykład zbieraniem złomu albo hodowlą jedwabników.

▮ Jak udało się nam ustalić, Ministerstwo Kultury prowadzi działania mające na celu odzyskanie pierścienia króla Zygmunta I Starego zrabowanego przez Niemców podczas II wojny światowej. Klejnot ten ma rzekomo znajdować się w niemieckim Muzeum Biżuterii (Schmuckmuseum) w Pforzheim. Resort wszczął procedurę restytucyjną. Chodzi o złoty pierścień z diamentem osadzonym w oprawie typu milgryf – wybitne dzieło jubilerskie z XVI w. i zarazem niemy świadek losów Rzeczypospolitej. Problem polega jednak na tym, że nikt nie ma pewności, czy to na pewno ten pierścień. Może być podobny. Może inny. Może po prostu pierścień z XVI w., który wygląda jak pierścień z XVI w. Strona niemiecka nie odpowiada na zapytania. Ale nie ma co się dziwić – to ma swoje historyczne uzasadnienie. Gdy oni pytali nas kiedyś o te Volkswageny Passaty, którymi niegdyś jeździło pół Warmii, też nie byliśmy szczególnie rozmowni.

▮ Poznański sąd lekarski ukarał siedmiu medyków za pandemijne herezje. Są winni szerzenia poglądów sprzecznych z linią partii, to znaczy „aktualną wiedzą medyczną". Kary symboliczne – nagany i upomnienia. Państwo policyjne w budowie. Sam się nie zaszczepiłem i żyję. Brat się zaszczepił i chorował trzy razy. Kto mądrzejszy? Oczywiście, że ja.

▮ Jeśli czekacie na operację bariatryczną (czyli zmniejszenie żołądka) w ramach NFZ już od 18 miesięcy, to lepiej uzbrójcie się w jeszcze więcej cierpliwości. Centralne Biuro Antykorupcyjne zatrzymało chirurga ze szpitala im. Kopernika w Łodzi, który próbował przyśpieszyć ten proces dla potrzebujących. Problemem nie był jego warsztat ani skargi pacjentów, lecz to, że – jak twierdzi prokuratura – przyśpieszał za łapówki. Efekt? Zamiast krótszych kolejek, mamy kolejne śledztwo, a procedury staną jeszcze bardziej. Jak widać, nie zdrowie pacjenta jest najważniejsze. Liczy się tylko to, czy lekarz bierze, czy nie. I czy system zachowuje pozory moralnej nieskazitelności, choć sam działa w trybie administracyjnego bezruchu.

▮ Trudno byłoby mi nie zauważyć, że w rankingu „Perły Samorządu 2025" organizowanym przez „Dziennik Gazetę Prawną" zwycięzcą w kategorii gmin wiejskich została mazowiecka gmina Michałowice. Mam ją za miedzą – tuż za płotem, tuż za horyzontem mojego codziennego zdziwienia. Ta część świata, która 20 lat temu kojarzyła się z refrenem harcerskiej piosenki „...za zgniłymi Pęcicami", a mieszkańców Reguł (czyli Regularzy) łączono głównie z oborą i kolejką WKD oraz z rzeką Utratą cuchnącą siarkowodorem, dziś rozkwita jak tuja przy stacji w Komorowie. Mają tam teraz nawet park z fontanną. To jest poziom. Nie każdy może o sobie powiedzieć, że mieszka w gminie z wodotryskiem.

RJ

PS Prawda, jak wiadomo, jest nudna. Dlatego redagując „Wieści Gminne…" sięgnęliśmy do płodnego gruntu prasy lokalnej. Tam fantazja kwitnie, a fakty są tylko przyprawą. Za ewentualne szkody moralne, materialne, egzystencjalne i kosmiczne nie odpowiadamy. Czytaliście Państwo na własne ryzyko.

eprasa.pl 798b5f08a6

Finansowy odcisk gwałtu

Liczba ofiar jest wprost proporcjonalna do stanu konta sprawcy

Pod koniec 2018 r. policja ogłosiła, że szuka ofiar pana, co to miał 62 lata, prowadził gabinet bioenergoterapeutyczny i brał za wizytę pięć stów, a wizyt przecież musiało być kilka. Gliniarzom nie chodziło jednak o zwalczanie szarlatanerii, ale o to, że starszy pan leczył seksem. To zaś nosiło znamiona gwałtu. Bioenergoterapeutę okrzyknięto więc gwałcicielem i rzucono na pastwę mediów.

Z lekarzem to nie grzech

Do dziś nie wiadomo, czy do donosu skłoniło 26-letnią pannę to, że odbyła stosunek z facetem starszym od ojca, czy ból z powodu wydania tysiąca złotych – tak czy inaczej, pani opowiedziała o terapii swojej 48-letniej mamusi. Która przypomniała sobie, że także zaznała tej formy bioenergoterapeutycznego leczenia u tego samego pana. Panie doniosły więc o gwałcie. Bo jak ogólnie wiadomo, gwałt to m.in. doprowadzenie podstępem innej osoby do obcowania płciowego lub poddania się innej czynności seksualnej.

Znachor nie wyglądał policji na takiego, co akurat wyjątkowo zasadził się na cześć matki i córki. Policjanci jęli więc podejrzewać, że będzie można mocno podnieść statystykę wykrywalności gwałtów. Szczególnie że pan terapeuta do biednych nie należał. A takie apele zazwyczaj przynosiły efekty. Zwłaszcza gdy gwałcicielem opisywanym przez gazety okazywał się ktoś z forsą.

Tak było w Trójmieście, gdzie cieszący się świetną opinią 65-letni chirurg onkolog stał się Markiem Ł. Bo najpierw seks z nim nie spodobał się jednej pacjentce, a po apelu policji gwałt sprzed lat przypomniał się kilkunastu innym.

Spawa 50-letniego Monzera M., ginekologa z Zabrza, zaczęła się od zgodnych oświadczeń czterech wykorzystanych przezeń pacjentek. Gdy w mediach poinformowano o apelu policji i jego majątku, liczba zgwałconych niewiast w ciągu tygodnia wzrosła do prawie 20. A potem jeszcze i jeszcze.

Z kolei pracujący od wielu lat w częstochowskim szpitalu ortopeda poszedł siedzieć, bo na policję zgłosiła się młoda kobieta. I zeznała, że lekarz wykorzystał ją seksualnie podczas wizyty w szpitalnym gabinecie. A potem druga, która – gdy dowiedziała się o aresztowaniu – przypomniała sobie, że trzy lata wcześniej też była zgwałcona. Ale kolejne ofiary, mimo apeli policji, się nie pojawiły. Dlatego po przejściu sprawy przez wszystkie możliwe instancje ortopeda dostał cztery lata odsiadki. Pierwsza z ofiar zaś 50 tys. zł zadośćuczynienia, a druga – 30 tys. zł. Jak sądy zróżnicowały traumę zgwałconych, wiedzą tylko państwo w togach.

Zbrukane pieniądze

Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że oprócz wielu lat więzienia za dokonanie gwałtu sąd może sprawcy przyłożyć coś takiego jak zadośćuczynienie. Parę lat temu całkiem miłą sumę na otarcie łez dostała pani zgwałcona przez dwóch funkcjonariuszy policji podczas wykonywania czynności służbowych. Poszli siedzieć na niecałe trzy lata, ale ofierze musieli zapłacić 150 tys. zł.

Studentce z Chełma zgwałconej przez podwożącego ją autostopem kierowcę przysądzono 80 tys. zł, szoferowi zaś oprócz tego cztery lata za kratkami. 80 tys. zł miała dostać też pani, którą dwaj sprawcy „doprowadzili do wykonania innej czynności seksualnej w postaci stosunku oralnego, wskutek czego przeżywała i nadal przeżywa szereg negatywnych emocji".

29-letni młodzian, który w biały dzień na cmentarzu w Tarnowie wykorzystał seksualnie 64-letnią panią, dostał osiem lat odsiadki, pokrzywdzona zaś 12 tys. zł od gwałciciela. Tak mało pewnie dlatego, że szanse na wyrwanie kasy od kogoś, kto nic nie ma, są minimalne.

Policjanci pamiętają, do czego doszło w lutym 2010 r. w Zielonej Górze. A doszło do pierwszej – i jak dotąd jedynej – epidemii podawania się za ofiary seryjnego gwałciciela.

Licząca sobie 34 wiosny pani z Gozdnicy piła samotnie wódkę, oglądając w telewizji program o gwałtach. Koło północy zebrało jej się na spacer, a ponieważ był luty i chodniki były śliskie, pani wywinęła orła, dotkliwie raniąc sobie facjatę. Żeby znaleźć ujście dla złości, zadzwoniła na policję i zameldowała o napadzie seksualnym. Mundurowi wysłali kobietę na pogotowie. Lekarz ją zbadał i doszedł do wniosku, że poza wywrotką na lód nic jej się nie przydarzyło. Kobieta przyparta przez policjanta do muru gwałt odszczekała.

Na policji pojawiła się też pani zaklinająca się, że została przez grasującego w Zielonej Górze zwyrodnialca wykorzystana płciowo już dwa lata wcześniej. A że w zeznaniach nic się kupy nie trzymało, to w końcu przyznała się do konfabulacji. 16-latka spod Zielonej Góry najpierw się pochlastała, a potem opowiadała o tym, co z nią wyrabiał gwałciciel. Nie było znamion gwałtu, więc policjanci jęli dociekać, o co chodzi. I wyszło, że panna chciała kilka dni pospędzać u znajomych zamiast w szkole.

40-latka z Krosna Odrzańskiego zeznała, że gwałciciel napadł ją w drodze do pracy i pociął jej ręce żyletką, bo zasłaniała twarz. Nie pasowało to śledczym do tego, co zazwyczaj interesuje gwałcicieli. I gdy nacisnęli, dowiedzieli się, że pani podała się za ofiarę, żeby zwrócić na siebie uwagę męża, gdyż bała się, że chce od niej odejść. Ofiarą wydumanego gwałciciela była też 22-latka z Leśniowa Wielkiego. Liczyła na to, iż jako kobiecie zgwałconej sąd nie będzie miał serca odebrać jej dzieci, na co się zanosiło. No to odebrał.

Gwałtowny przypływ pamięci

Zielonogórska epidemia nie jest jedynym powodem tego, że

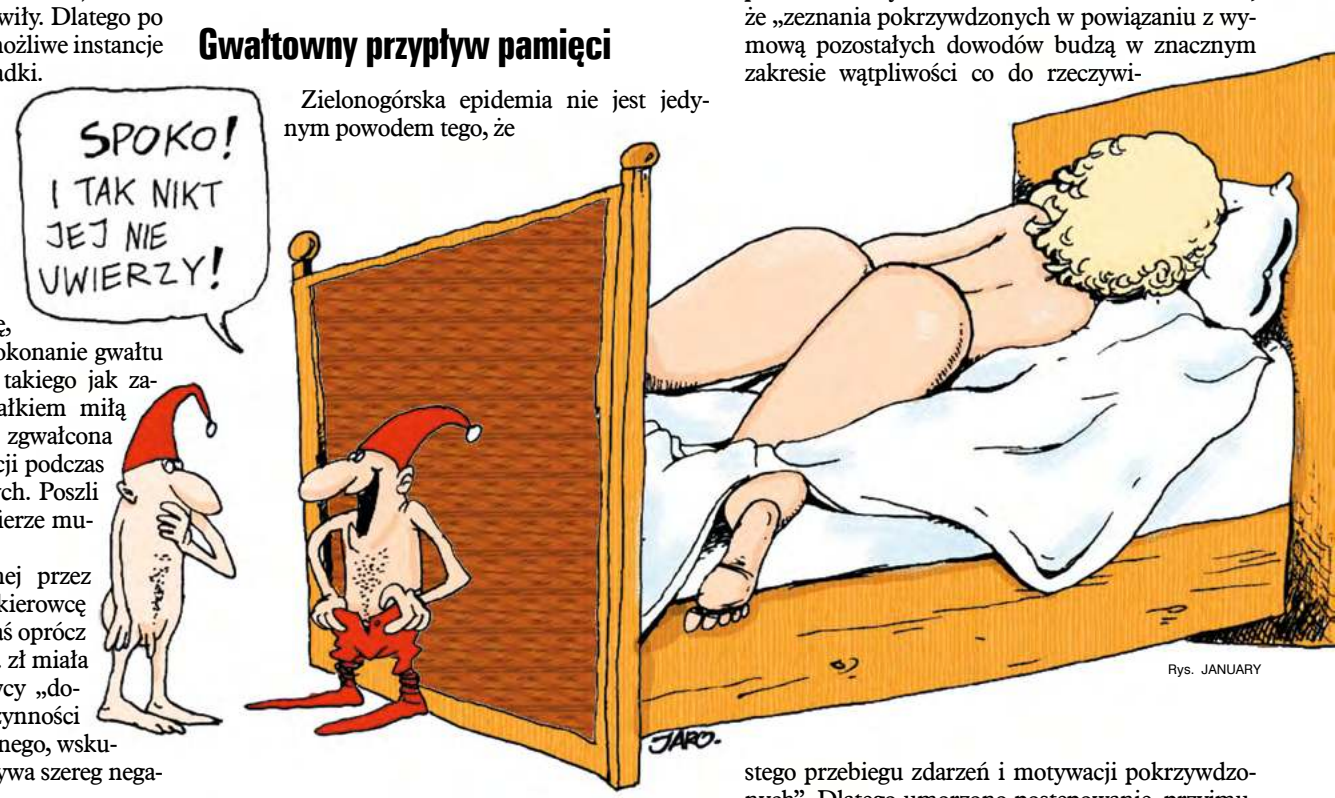

Rys. JANUARY

spraw o gwałt funkcjonariusze nienawidzą. Wiedzą, że zawsze będą mieli przechlapane. Bo – według nich – nigdy nie można dogodzić ofiarom.

Jedne chcą jak najszybciej być wyłączone i zapomnieć o tym, co je spotkało. Inne chciałyby, żeby policja była z nimi cały czas i co parę godzin informowała o postępach śledztwa. A potem biegną na skargę do przełożonych albo do prasy i pojawiają się teksty, jak to niefajnie mają ofiary gwałtów na policji. Na dodatek prokuratorzy każą policjantom apelować do ofiar sprzed lat o zgłaszanie się.

Tymczasem dla policjanta najważniejsze jest, żeby kobiety informowały o gwałtach, jak szybko się da. Najchętniej ze śladami sprawcy. Wtedy sukinkota łapie się i zamyka. Tak jak sprawę. Zwyrol dostanie długą odsiadkę, i to bez względu na to, czy wykorzystał jedną babkę, czy sto. Tymczasem po apelach, a szczególnie tych dotyczących bogatych gwałcicieli, obok nielicznych ofiar pojawiają się kobiety, które śledczym na odległość pachną fałszem. Takie, które liczą na to, że załapią się najpierw na zadośćuczynienie, a potem odszkodowanie w procesie cywilnym. To się jednak zaczyna zmieniać – pewnie z braku kogoś z kasą Harveya Weinsteina.

Bioenergoterapeuty z Krakowa poza dwiema paniami żadna więcej o gwałt nie posądziła. A że obie przypomniały sobie o gwałcie grubo rok po nim, to prokuratura była ostrożna. Potem zaś stwierdziła, że „zeznania pokrzywdzonych w powiązaniu z wymową pozostałych dowodów budzą w znacznym zakresie wątpliwości co do rzeczywistego przebiegu zdarzeń i motywacji pokrzywdzonych". Dlatego umorzono postępowanie, przyjmując, że bioenergoterapeuta nie popełnił zarzucanego mu czynu. Prokuratura podkreślała też, że żadna z pozostałych przesłuchanych pacjentek bioenergoterapeuty „nie wskazała, by dopuścił się on czynów na tle seksualnym".

Całkiem inaczej miała się sprawa ginekologa ze Śląska. Monzera M. oskarżało 26 pacjentek. W lipcu 2022 r. lekarz usłyszał, że idzie siedzieć na 11 lat, a swoim ofiarom ma płacić zadośćuczynienie.

I płaci. Pani, która miała zasądzone najpierw 10 tys. zł, a w drugiej instancji 5 tys. zł, najpierw dostała 900 zł, potem długo, długo nic. Teraz zaś komornik przysyła jej po ok. 11 zł miesięcznie. Inne poszkodowane pacjentki dostają podobne kwoty. A to dlatego, że ginekolog nic nie ma, a w więzieniu zarabia nieco ponad 200 zł.

Dla policji i prokuratorów, wbrew pozorom, informacje o niskich zadośćuczynieniach są informacją dobrą. Dzięki nim maleją szanse na to, by w przypadku wykrycia jakiegoś bogatego gwałciciela pojawiło się stado kobiet liczących na sowite wynagrodzenie za opowiedzenie jakiejś pikantnej i absolutnie nieweryfikowalnej bajki.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Sąd Okręgowy w Rzeszowie skazał na pięć lat pierdla księdza Dominika R., byłego wikariusza w podkarpackich Święcanach. Duchowny był oskarżony o molestowanie nieletnich. Klecha pod pretekstem mierzenia muskulatury i poszukiwań kleszczy po wspólnych spacerach fotografował nastolatków nago i naruszał ich nietykalność cielesną. Ponadto groźbami i przemocą wymusił na jednej z ofiar tzw. inną czynność seksualną. Decyzją sądu w trakcie odbywania kary więzienia pedofil w koloratce zostanie poddany terapii w związku z zaburzeniami preferencji seksualnych. Dominik R. ma także 10-letni zakaz przebywania w pobliżu placówek opiekuńczych i wychowawczych oraz w środowisku osób nieletnich.

✚ Bydgoski sąd okręgowy podtrzymał wyrok sądu rejonowego w sprawie księdza Rafała K., który podawał się za seksuologa i wykorzystywał seksualnie swoich „pacjentów". Klecha w ramach sesji pokazywał pokrzywdzonym filmy, namawiał, by się rozbierali, i dotykał ich miejsc intymnych. Według ustaleń śledczych duchowny przez wiele lat miał zapraszać do własnego mieszkania w sumie 10 osób, w tym dwie nieletnie. Rafał K. został skazany na 10,5 roku więzienia, dodatkowo ma zakaz wykonywania zawodu nauczyciela oraz wszelkiej działalności związanej z wychowaniem, edukacją, leczeniem małoletnich lub opieką nad nimi na okres 10 lat. Były ksiądz nie może kontaktować się z pokrzywdzonymi ani zbliżać się do nich na odległość mniejszą niż 50 m przez osiem lat, a także został zobowiązany do zapłaty zadośćuczynienia na ich rzecz.

✚ 23 czerwca podczas kontroli drogowej w Bronowie (gmina Wizna) funkcjonariusze łomżyńskiej policji zatrzymali proboszcza jednej z lokalnych parafii, którego prawo jazdy zostało zawieszone kilka tygodni wcześniej za spowodowanie kolizji pod wpływem alkoholu. Duchowny tłumaczył się wówczas, że miał jedynie w ustach wacik nasączony balsamem kapucyńskim o zawartości alkoholu 55 proc., co miało spowodować, że alkomat wskazał 0,18 promila w wydychanym powietrzu. Nie wiadomo, jak księżulo usprawiedliwił się podczas drugiej wpadki, ale został zawinięty na komendę, a jego auto na policyjny parking. Gratulujemy.

✚ Do sieci trafiło nagranie z kościoła w Kielcach, na którym widać, jak podczas jednej z mszy dziecko z hukiem przewraca figurę Jezusa Chrystusa. Pomimo że dzieciak miał idealny timing (gipsowy bożek huknął, kiedy ksiądz prowadzący mszę wypowiedział słowa: „Abyśmy z nimi wychwalali Ciebie przez Twojego syna"), incydent w sposób daleki od bożego miłosierdzia skomentował ks. Daniel Wachowiak. Na platformie X napisał: „Gdzie są rodzice? To zapewne ci, którzy nie wychowują dziecka do posiadania szacunku wobec spraw świętych, za to propagują dzieciokrację w najgorszym wydaniu. Sami zapewne nie wykazują ochoty na poszukiwanie Chrystocentryzmu w czasie Mszy Św. Moda na róbta co chceta". I po co ten ostracyzm, a może to któryś ksiądz przyszedł z dzieckiem do pracy?

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z wiadomości lokalnych

Wywindowani

Komunikacyjna impotencja rządu zebrała kolejne żniwo

Ministerstwo Rozwoju i Technologii przygotowało projekt nowelizacji prawa, który od kilku tygodni wzbudza wielowymiarową podnietę wśród lokatorów kamienic i blokowisk. Chodzi o nowe przepisy, które przewidują dostosowanie budynków mieszkalnych i użyteczności publicznej do potrzeb osób niepełnosprawnych, starszych, opiekunów niewyrośniętych bachorząt i pozostałych grup społecznych, którym niemożność pokonania schodów obrzydza żywot.

Krótko mówiąc – chodzi o montaż wind. I to tam, gdzie dotąd architektom się nie śniło. Nowela zakłada bowiem instalację dźwigów osobowych w budynkach mających co najmniej trzy kondygnacje.

Nie wiadomo, kto pierwszy sprzedał newsa, że nowe przepisy zmuszą 3,5 tys. wspólnot i spółdzielni mieszkaniowych do modernizacji swoich zasobów, ale temat wszedł jak dzik w żołędzie. Zaczęły go powielać mainstreamowe media, a politycy Konfederacji przerabiać na swoją modłę. Najwyraźniej ani jedni, ani drudzy nie pokusili się, żeby projekt nowelizacji ustawy przeczytać, bo w § 2.1. stoi jak księdzu na widok tornistra, że nowe przepisy stosuje się przy „projektowaniu, budowie i przebudowie oraz przy zmianie sposobu użytkowania budynku lub jego części". Przekładając z urzędniczego na polski, wybawicielskie dupowozy między kondygnacjami pojawią się w nowych lub przebudowywanych obiektach.

Niestety, Ministerstwo Rozwoju i Technologii zabrało głos w sprawie jako ostatnie. Za późno, gówno dezinformacji wpadło w wentylator.

Konfa straszy

Skądinąd słuszna w założeniu – lecz błędna w interpretacji – ministerialna koncepcja najbardziej ucieszyła beneficjentów kruchych stawów, kul i wózków inwalidzkich. Trudno się dziwić. Według danych z GUS z 2021 r. w Polsce jest około 15,2 mln mieszkań, z czego znaczna część znajduje się w budynkach wielorodzinnych z czasów PRL, w których windy nie są regułą. Około 13 proc. populacji kraju nad Wisłą to osoby powyżej 65. roku życia (wg prognoz demograficznych GUS – blisko 5 mln osób).

eprasa.pl 798b5f08a6

„Wolnoć Tomku w swoim domku” jest już odległym wspomnieniem

Deregulacja po tuskowemu

Najbardziej spektakularne uderzenie? Zakaz grillowania. Nie dlatego, że ktoś się przypalił albo zaprószył ogień. Powód? Dym. A właściwie jego emisja do więcej niż trzech sąsiednich mieszkań. Jeśli więc woń kiełbasy dotrze do czwartego lokatora – płacisz. I to grubo.

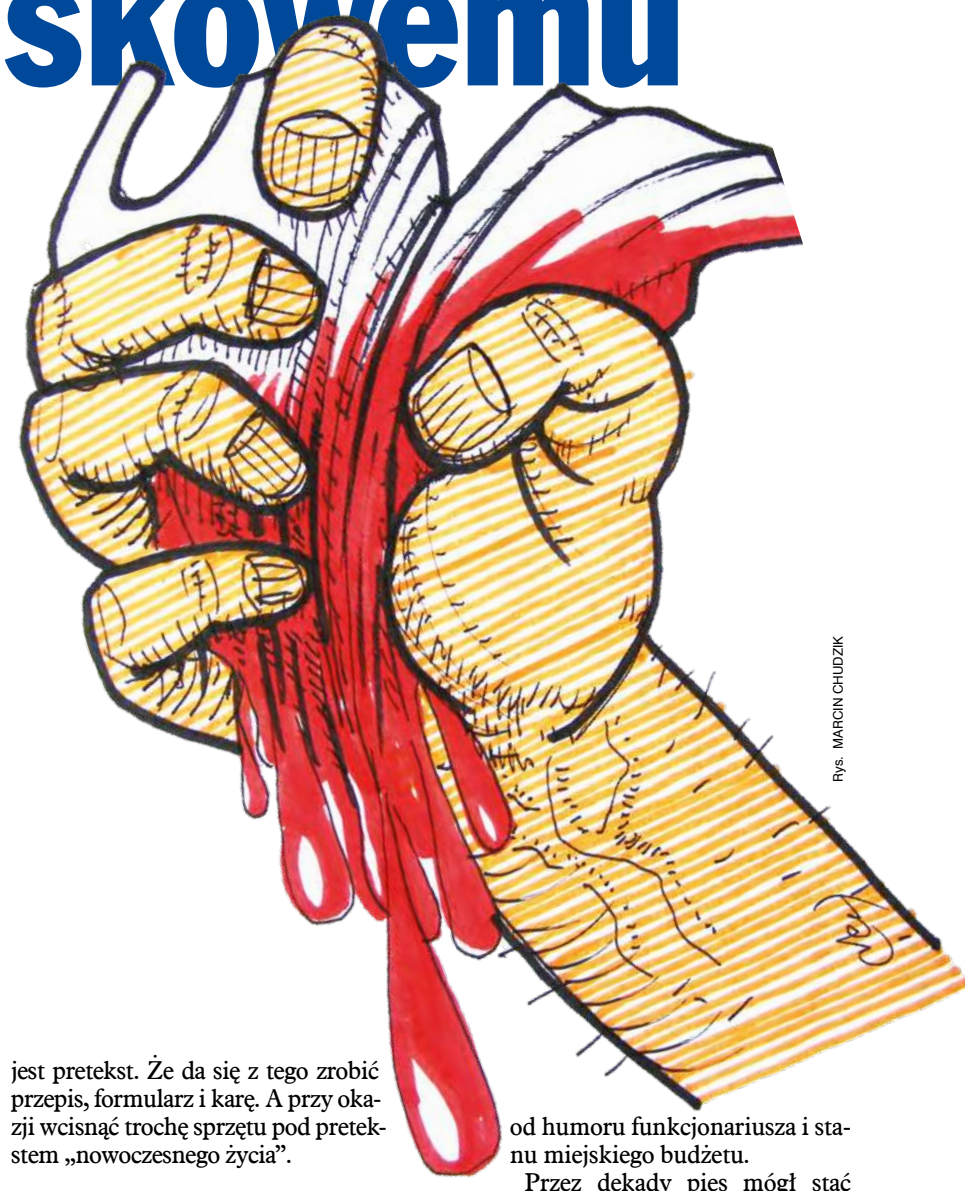

Rys. MARCIN CHUDZIK

Dzięki brakom w budżecie dzisiaj nie tylko grillujesz nielegalnie, nie tylko podlewasz ogródek na własne ryzyko i stoisz przy swoim szambie pod nadzorem, ale nie wolno ci w czasie spaceru z psem przypomnieć sobie, że nie masz soli.

Co za szambo

Gdy państwo nie potrafi zrobić porządku ze ściekami w rzece, bierze się za szambo obywatela. Władze uznały właśnie, że problemem nie są przepompownie, oczyszczalnie i rurki, tylko ludzie. I ich posesje. Dlatego rusza krajowa inkwizycja szambowa.

Każdy właściciel działki bez kanalizacji – a więc nie tylko chłop z Podkarpacia, ale i działkowiec z Grochowa – musi przygotować się na najazd urzędników. Przepisy dały im teraz prawo sprawdzenia, czy gospodarz podpisał umowę z firmą mającą papiery na wywóz gnojowicy. I czy ów wywóz odbywa się regularnie. Dowód? Stos papierów. A jak nie ma? To proszę, 5 tys. zł kary. Przecież łatwiej ukarać właściciela działki niż zbudować kanalizację.

Przez dekady nikogo to nie obchodziło. Nikt nie pytał, jak kto spuszcza i dokąd. Teraz zaś gminy mają obowiązek nie tylko nadzorować, ale i egzekwować przepisy, które wcześniej literą prawa nie były. Jeśli nie dopilnują, zapłacą 50 tys. zł.

Cała ta rewolucja odbywa się, rzecz jasna, pod sztandarem ekologii. Bo przecież to nie wody przemysłowe ani chemia z pól, ale zawartość wiejskiego szamba ma być głównym zagrożeniem dla przyrody. Tyle że, jak zwykle, nie o przyrodę tu chodzi, tylko o kontrolę. A jak wiemy, kontrola to przywilej władzy. Tym razem wyjątkowo intymny – dosłownie zaglądający ludziom do dołów kloacznych.

Tak oto kolejna ustawa zmusza urzędników do naruszenia prywatności. Wcześniej wszak władza przetestowała ten model przy ogródkowych grillach, kompostownikach i piecach.

Rynna z mandatem

Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby deszcz uczynić przestępstwem. Ale wygląda na to, że teraz każdy, kto ma dach, rynnę i kawałek trawnika, zostaje podejrzany.

W Polsce właśnie wykoncypowano, że woda z nieba nie może sobie płynąć, dokąd chce. Zwłaszcza do kanalizacji. Bo kanalizacja – o czym informują stosowne ustawy – jest wyłącznie dla ścieków bytowych. A więc nie dla tego, co spada z chmur. Jeśli więc ktoś z przydomowego ogródka wpuścił rynny do rur, które prowadzą tam, gdzie płyną fekalia, może dostać 10 tys. zł kary. A w wersji hard – ograniczenie wolności.

Państwo – jak zwykle – twierdzi, że to dla dobra wspólnego. Bo przecież pompy się zużywają, piasek zapycha system, a nieczystości się cofają. Zamiast więc rozbudowywać infrastrukturę kanalizacyjną, łatwiej było uchwalić prawo, które pozwala karać właściciela domu za to, że spadło mu na dach. Kontrole? Już trwają. W Olsztynie połowa posesji miała nielegalne przyłącza. W innych miastach urzędnicy grzebią po działkach, sprawdzają rury, stukają w zbiorniki.

To jednak wersja polska – miękka. Bo prawdziwe misterium wody odbywa się we Francji. Tam od lipca podlewanie ogródka deszczówką bez zgody urzędu jest nielegalne. Kara: 135 euro mandatu albo – uwaga! – trzy lata więzienia. Dla porównania: w Polsce do tej samej deszczówki, ale w beczce, państwo zachęca. Byle nie wpadała do kanalizacji. Władza francuska poszła jednak o krok dalej. Woda musi mieć papiery. Trzeba wiedzieć, z czego spadła. Bo jeśli z eternitu, azbestu albo dachu z ołowiu, to zbrodnia klimatyczna gotowa.

Co łączy Polskę i Francję? Jedno: niepohamowana chęć regulowania tego, co jeszcze do niedawna należało do sfery zdrowego rozsądku. Co je dzieli? Styl. U nas deszcz ma być odseparowany. Tam – zalegalizowany. W obu przypadkach efekt ten sam: państwo wchodzi z butami na prywatne podwórko.

Podatek za widok

Na tym nie koniec władzy w naszych domach. I nie z pytaniem o piec, szambo czy deszczówkę. Tym razem chodzi o balkon. A właściwie – o to, co wolno na nim robić. Od kwietnia balkon stał się miejscem reglamentowanym w sposób godny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Nowelizacja kodeksu wykroczeń uczyniła z tej ostatniej enklawy prywatności przestrzeń publiczną, nadzorowaną i ubezpieczoną. To już nie jest prywatne kilkanaście metrów kwadratowych z widokiem na park. To strefa kontroli, wymagająca certyfikowanych doniczek i czujników obciążenia.

Bo nowy przepis przewiduje mandaty, które skutecznie oduczą smażenia czegokolwiek.

Nowe prawo zabrania też instalowania ciężkich donic przy balustradzie, opierania się o barierki, montowania niecertyfikowanych systemów nawadniania balkonów. Każdy mebel, każda pelargonia, każda konewka ma teraz potencjał przestępczy. Naruszenie tych zasad nie tylko kończy się grzywną. W razie wypadku – odpowiadasz cywilnie.

I dlatego wprowadza się obowiązkowe OC dla użytkownika balkonu. Teraz, żeby mieć doniczkę i leżak, musisz mieć też polisę. Polisa taka kosztować ma od 200 do 600 zł rocznie, w zależności od miejsca zamieszkania i metrażu tej nowej strefy zagrożenia publicznego. Czyli – im ładniejszy widok, tym drożej.

Oczywiście rynek już zareagował. Powstały „inteligentne” systemy do monitorowania obciążenia, detektory jakości powietrza, grille plazmowe, które nie dymią. A nade wszystko drogie mieszkania nie z balkonami, ale z loggiami, których te przepisy nie dotyczą.

A że kolejna przestrzeń, dotychczas całkowicie prywatna, została zaanektowana przez państwo? Nie dlatego, że była niebezpieczna. Ale dlatego, że można. Że jest pretekst. Że da się z tego zrobić przepis, formularz i karę. A przy okazji wcisnąć trochę sprzętu pod pretekstem „nowoczesnego życia”.

I tu jest pies przywiązany

Geneza kolejnej regulacji nie jest jasna. Nie wiadomo, czy najpierw zabrakło wpływów z mandatów drogowych, czy może zbyt wielu strażników zaczęło się nudzić. Ale faktem jest, że władza odnalazła właśnie nowy front walki o porządek publiczny, którego bohaterem jest pies. Pies przywiązany.

W każdym większym mieście można zobaczyć taką scenę: właściciel wbiega do sklepu, a jego czworonożny towarzysz czeka spokojnie na zewnątrz.

Aż tu komuś przypomniało się o artykule 77 kodeksu wykroczeń. Ten martwy dotychczas paragraf ożył. „Niezachowanie środków ostrożności przy trzymaniu zwierzęcia” – brzmiał zawsze lakonicznie. Ale znaczy dziś: nie przywiązuj psa przed sklepem, bo zapłacisz. Do 500 zł. Albo dostaniesz naganę. Albo w wariancie hard grozi ci ograniczenie wolności. Wszystko zależy od humoru funkcjonariusza i stanu miejskiego budżetu.

Przez dekady pies mógł stać przed Społem, Biedronką czy apteką i nikomu to nie przeszkadzało. Teraz nagle stało się to wykroczeniem, zagrożeniem, wręcz niemal atakiem na ład społeczny. Skąd ta zmiana? Odpowiedź jest prosta – z braku pieniędzy.

Bo każdy mandat to wpływ. A każdy pies to potencjalny dochód. Straże miejskie i policja muszą szukać nowych obszarów penalizacji. I znalazły. Między smyczą a klamką.

Oczywiście wszystko opakowane zostało w troskę o dobro zwierząt. Bo przecież pies może się przestraszyć, może zostać zaatakowany, może się wyrwać. To wszystko prawda. Ale prawdą jest też, że większość ludzi zna swoje psy lepiej niż strażnik z notatnikiem. I że mandat za przywiązanie spokojnego kundelka do rynny nie ma nic wspólnego z troską. Ma za to wiele wspólnego z budżetem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Dokładnych danych brak, ale jeśli choć co 10. senior nie może wyjść z domu przez problem z pokonaniem schodów – to tak jakby pozamykać w chałupach wszystkich mieszkańców Gdańska.

Tak potężna pula potencjalnie zainteresowanych tematem przyszłych wyborców nie mogła ujść uwadze Konfederacji.

26 czerwca poseł Witold Tumanowicz piał z sejmowej mównicy, że rząd szykuje kolejny kosztowny obowiązek, który spadnie na barki obywateli. I wyliczał, że koszt jednej windy w starym budynku bez szybu plasuje się w granicach 500–900 tys. zł, a roczne utrzymanie takich wygód to średnio 15 tys. zł w skali roku, co daje średnio 200 zł miesięcznie podwyżki czynszu. W razie gdyby emerytom na te wieści za słabo zmarszczyła się dupa, dorzucił do pieca pytanie, czy w obiektach, których architektura wyklucza zainstalowanie dźwigu osobowego, rząd planuje wywłaszczenia części mieszkań pod budowę takiej infrastruktury.

Propagandę posła Tumanowicza podbił na platformie X sejmowy i partyjny kolega Włodzimierz Skalik – notując, że wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe będą musiały samodzielnie sfinansować nową fanaberię rządzących oraz że „państwo znowu stworzy problem, z którym nie będzie sobie mogło poradzić przez dekadę”. Tymczasem pomysł z ubogacaniem architektury wielorodzinnej w windy wcale nie jest nowy.

Pinokio obiecywał

W 2017 r. świeżo wystrugany premier Mateusz Morawiecki zapowiedział plany dotyczące poprawy jakości życia na osiedlach z wielkiej płyty, w tym pomysł na dobudowę wind – szczególnie zewnętrznych – co miało ułatwić życie poturbowanym przez grawitację i własne zdrowie. Temat zdechł śmiercią naturalną, żeby pojawić się w kampanii w 2023 r. Morawiecki na konferencji prasowej w Tomaszowie Mazowieckim przedstawił program „Przyjazne Osiedle”, którego jednym z założeń było wyposażenie starych blokowisk w dźwigi osobowe. Budżet na rewitalizację miały zasilić pieniądze „zabrane przestępcom i mafiom VAT-owskim”. Jak to mówią: cóż szkodzi obiecać. Jako że prawica prześlizgała wybory, plan z pięcioma miliardami na pierwszy rok działania poszedł się bujać bez możliwości zweryfikowania, czy nos Morawieckiego znowu urośnie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W drodze wyjątku Koalicja Obywatelska nie spuściła problemu z nurtem Wisły. Na początku bieżącego roku sprawą więźniów wyższych kondygnacji zajęła się minister ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz z PO. Wedle jej pomysłu seniorzy mogliby oddawać swoje mieszkania „w zarządzanie” w zamian za możliwość otrzymania lokalu na wynajem na parterze. Formalnie nie traciliby swojej własności, ale fizycznie nie musieliby z niej korzystać bezpośrednio. Własnościowe mieszkanie trafiałoby do zasobów gminy, ale bez przeniesienia prawa własności. Pomysł storpedował wówczas poseł Marcin Warchoł z PiS, który sugerował (o ironio!), że może to prowadzić do oszustw i pozbawienia starszych obywateli majątku.

W maju podczas posiedzenia sejmu Okła-Drewnowicz ogłosiła prace nad projektem zabezpieczającym seniorów pod względem mieszkaniowym i finansowym, nie wycofując się z wcześniejszego postulatu, a zapowiadając opracowanie modelu wspieranego podejmowania decyzji z innymi resortami, w tym z Ministerstwem Sprawiedliwości. Czy ktoś poza nadgorliwymi dziennikarzami o tym słyszał? No właśnie...

Szłapka daje ciała

Do samej nowelizacji rozporządzenia Ministerstwa Rozwoju i Technologii trudno się przypierdolić. Jeśli dobrze się wczytać, widać, że nowe przepisy w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie, cywilizują patologiczne zapędy kreatywnych deweloperów. Można wręcz rzec, że ludzie z ministerstwa wreszcie odkryli ergonomię. Przykładowo § 89.1. o budynkach mieszkalnych wielorodzinnych mówi, że „kształt i wymiary przedpokoju mają umożliwiać przeniesienie chorego na noszach oraz wykonanie manewru wózkiem inwalidzkim w miejscu zmiany kierunku ruchu”. A to tylko jeden z wielu ciekawych zapisów.

Rozporządzenie nie wprowadzi obowiązku montowania wind w już istniejących budynkach, ale jeśli w wyniku przebudowy obiektu zmianie będzie podlegał sposób jego użytkowania z mieszkalnego na budynek użyteczności publicznej (dajmy na to blok mieszkalny zamieni się w akademik), to trzeba będzie dostosować go do nowych wymagań. Przebudowa instalacji elektrycznej czy gazowej nie wymusi na zarządcy instalacji dźwigu osobowego. Brzmi rozsądnie? Owszem. Problem w tym, że po blisko trzech tygodniach konfederackiej i medialnej sieczki pies z kulawym prąciem tego nie wysłucha.

Zerknęłam w social media nowego rzecznika rządu Adama Szłapki, który przymierzając się do nowej roli, zaczął brykać w mediach przed oficjalnym objęciem urzędu 1 lipca. Znalazłam wzmianki o końcu polskiej prezydencji w Unii Europejskiej, komputerze kwantowym w Poznaniu i o locie Polaka w kosmos. Sprostowania, że rząd próbuje podstępem wyruchać na krzywe sanki tysiące obywateli – brak. Nie szkodzi, prawica przypomni temat, najpewniej tuż przed wyborami. Narrację uszyje na miarę i wywinduje sobie słupki.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 798b5f08a6

Zielone Chiny

Nauki z planu pięcioletniego KPCh

Polacy już przywykli do tego, że przez ostatnie lata Chiny wyewoluowały z zacofanej wytwórni plastikowego szajsu w nowoczesną fabrykę... w zasadzie wszystkiego. Od smartfonów przez samochody elektryczne aż po rakiety kosmiczne. Zachodni internet zaś coraz gęściej zalewają informacje o kolejnych wielkich przedsięwzięciach Państwa Środka.

W zeszłym roku furorę robiła chińska sztuczna inteligencja, przedtem podziw budził rozwój szybkiej kolei, motoryzacji czy technologii czipów w smartfonach.

Towarzyszy temu często narracja, że „oni mogą, bo w przeciwieństwie do nas nie bawią się w ekologię" – zazwyczaj połączona z jojczeniem na Zielony Ład i postulatem powrotu do węgla. Jest to narracja całkowicie błędna: Chiny Ludowe akurat w ekologię się bawią – i to już od dawna i na ogromną skalę. Efektem tego jest choćby zaobserwowany na początku tego roku spadek emisji CO_2 Chińskiej Republiki Ludowej.

Ekologiczny marksizm

Zwrot w zieloną stronę rozpoczął się już pod koniec ubiegłego wieku. W 1992 r. na szczycie w Rio Chiny zobowiązały się do wypełnienia postanowień w zakresie zrównoważonego rozwoju. W pierwszej dekadzie XXI w. w kręgach akademickich trwała debata na temat ekologii, eksploatacji przyrody przez kapitał i zagrożeń, jakie z tego płyną. Popularny stał się tzw. ekologiczny marksizm, który do Chin przywędrował pod postacią tłumaczonych zachodnich publikacji. W skrócie: jest to nurt filozoficzny, który analizuje wpływ kapitalizmu na środowisko naturalne oraz jego konsekwencje społeczne.

Chiny – jako kraj przynajmniej deklaratywnie socjalistyczny – są podatnym gruntem na tego typu idee, przez co szybko zainteresował się nimi także aparat biurokratyczny. 17. Narodowy Kongres Komunistycznej Partii Chin – w roku 2007 – wielokrotnie wspominał aspekt ekologiczny w rozwoju Chin. Pięć lat później 18. Kongres przyjął do konstytucji ChRL poprawkę o budowie „ekologicznej cywilizacji" jako jednego z pięciu celów rozwoju Chin. Oznacza to odcięcie się od filozofii rozwoju gospodarczego za wszelką cenę, która panowała jeszcze od czasów Mao i z którą kojarzy dziś Chiny między innymi antyekologiczna prawica.

Od tego czasu podczas szczytów międzynarodowych ChRL wielokrotnie zobowiązywała się do prowadzenia konkretnej ekologicznej polityki. W 2015 r. Chiny podpisały Porozumienie Paryskie i zobowiązały się osiągnąć szczyt emisji CO_2 do 2030 r. Zmniejszenie emisji dwutlenku węgla już w tym roku – jeśli nie jest to tylko chwilowa anomalia – może oznaczać, że udało im się wywiązać z obietnicy z pięcioletnim wyprzedzeniem.

Do podobnego celu Chiny zobowiązały się w roku 2020 na szczycie klimatycznym ONZ, gdzie dodatkowo doszła obietnica osiągnięcia neutralności węglowej (równowagi między emisją CO_2 a jego pochłanianiem z atmosfery) do roku 2060. Twarde limity pojawiają się też w założeniach ostatniego, 14. planu pięcioletniego.

Taniej, zdrowiej

Produkcja prądu elektrycznego przez Chiny stanowi około jednej trzeciej produkcji światowej. Dominującym paliwem nadal jest tam węgiel; Chiny są jego największym producentem i konsumentem na świecie. Jednak wzrost zużycia węgla spowalnia, a jego procentowy udział w produkcji prądu zmniejsza się. Jeszcze w 2015 r. elektrownie węglowe generowały ok. 70 proc. chińskiej energii; dziś jest to mniej niż 60 proc. Strategia dekarbonizacji Chin to z jednej strony zwiększanie wydajności istniejących elektrowni węglowych i zastępowanie przestarzałych bloków nowymi; z drugiej zaś – odnawialne źródła energii (OZE), atom i wodór.

ChRL jest obecnie największym producentem i konsumentem OZE. W 2024 r. zainwestowała w nie 359 mld dol. (dla porównania: UE 106 mld, USA 85 mld). W tym samym roku OZE odpowiadały za 32,33 proc. całkowitego zużycia energii w Chinach. Dodajmy do tego jeszcze 5 proc. mocy z atomu – i wyjdzie nam nieomal 40 proc. energii ze źródeł bezemisyjnych.

To z jednej strony efekt rozwoju technologii; z drugiej zaś – skutek decyzji strategicznych i czysto utylitarnych.

Udoskonalenie technologii OZE pozwala pozyskiwać więcej energii mniejszym kosztem; do tego stopnia, że już w roku 2023 prąd z fotowoltaiki był w Chinach tańszy niż ze spalania węgla. Z drugiej strony, Chiny nie posiadają zbyt bogatych złóż paliw innych niż węgiel i muszą je importować. Pandemia COVID-19 oraz agresywna polityka Donalda Trumpa pokazują, że poleganie na międzynarodowych łańcuchach dostaw jest strategią ryzykowną i warto mieć plan B. Stąd pomysł, aby stopniowo uniezależniać się od np. ropy poprzez inwestowanie w elektromobilność oraz wodór. Podobną strategię zresztą obrała Europa.

Inną – polityczną – przyczyną odchodzenia od benzyny i węgla jest to, że paliwa kopalne po prostu kopcą. Co powoduje zatrucie środowiska, a w konsekwencji – choroby i krótsze życie. A partia chce, aby klasa robotnicza Chin miała siłę wstawać do pracy i generować PKB. Dlatego rządowe programy ograniczają ogrzewanie węglem, wspierają budowę infrastruktury pod samochody elektryczne oraz inwestują miliardy w rozwój zielonych alternatyw w energetyce czy transporcie.

Lekcja dla Polski

Przykład Chin pokazuje nam dwie rzeczy. Po pierwsze, da się mieć i zieloną politykę, i rozwój gospodarczy jednocześnie. Mało tego, jedno i drugie może być sprzężone ze sobą – budowa przemysłu związanego z OZE to przecież tysiące miejsc pracy i możliwości biznesowych. Tak samo jak rozbudowa szybkiej kolei i infrastruktury pod elektromobilność czy wielkie inwestycje w wodór i atom. Po drugie, okazuje się, że

neoliberalna doktryna państwa minimum po prostu nie działa. Nie trzeba być socjalistą, żeby zauważyć, że silne i aktywne gospodarczo państwo po prostu się opłaca. Pomimo urynkowienia gospodarki i restauracji kapitalistycznego podziału klasowego ChRL nadal operuje na planach pięcioletnich.

W ich ramach państwo inwestuje swoje środki i tworzy ramy prawne pod realizację konkretnych założeń. Resztę wykonuje już sektor prywatny, który akurat też jest w dużej mierze scalony z aparatem biurokratycznym partii.

Efekt jest taki, że w Chinach da się zrobić to, czego nie da się u nas: realizować wielkie projekty, które zwracają się dopiero po latach.

Co ciekawe – wiedzą o tym też Amerykanie. Tesla czy SpaceX rozwinęły się dzięki ogromnym pożyczkom i grantom od amerykańskiego państwa za prezydentury Obamy. Obecnie sycie dopłaca się tam choćby koncernom cyfrowym rozwijającym sztuczną inteligencję.

W tym kontekście dość śmiesznie czyta się mądrości prawicowców na temat polityki energetycznej i gospodarczej – szczególnie gdy odwołują się do Chin. Niestety, w Polsce nadal bardzo prężnie działają operacje dezinformacyjne prowadzone przez różne grupy interesów – w tym Federację Rosyjską. Prawica walczy tu o poparcie osób, które kupiły narrację serwowaną im przez propagandę koncernów paliwowych. Jednak – jak wykazują internetowi śledczy, jak choćby Nocny Pingwin z Twittera/X – bardzo wielu polityków prawicy, głównie tej skrajnej, rzeczywiście wierzy w tę propagandową papkę, którą podaje dalej. Poziom dezinformacji sprawia, że nawet liberalny kandydat Rafał Trzaskowski zdążył się kilka razy wyprzeć Zielonego Ładu w nadziei przypodobania się zmanipulowanym wyborcom.

Dla polityki energetycznej Polski jest to moment kluczowy. Węgiel przestaje być realną opcją. Jego wydobywanie w Polsce staje się coraz bardziej kosztowne, a poleganie na imporcie zakończyło się załamaniem dostaw – w wyniku zmian geopolitycznych, na które nie mamy wpływu. Podobnie jest z ropą i gazem, które wszak także sprowadzamy. W tle zaś jest debata publiczna zatruwana przez bezkarnie prowadzoną dezinformacją. Bez zmiany polityki energetycznej państwa czekają nas dalsze podwyżki cen prądu i spowolnienie gospodarcze.

PIOTR STARCZEWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Trumpolandia

Demokratyczne prawybory na mera Nowego Jorku wygrał Zohran Kwame Mamdani – urodzony w Ugandzie kongresman stanowy, który nie tylko jest muzułmaninem, ale także ma krytyczny stosunek do miliarderów i chce założyć sieć miejskich sklepów spożywczych, żeby ulżyć mieszkańcom miasta w kryzysie związanym z kosztami życia. „Stało się, demokraci przekroczyli granicę. Zohran Mamdani, w 100% komunistyczny szaleniec, właśnie wygrał prawybory" – wrzasnął Trump. „Wygląda OKROPNIE, jego głos jest zgrzytliwy, nie jest zbyt inteligentny". Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale Mamdani jest szczupłym, przystojnym, ciemnowłosym 33-latkiem, bez nadwagi, sztucznej opalenizny i pożyczki z dupnego rowu na głowie. Chyba nawet Trump się połapał, że jego ataki trafiają w próżnię, w związku z tym ogłosił, że Mamdani – od 2018 r. posiadający amerykańskie obywatelstwo – jest w kraju nielegalnie.

Brzmiałoby to jak żart, gdyby nie to, że ostatnio, w oparciu o ustawę o „obcych wrogach" z 1798 r., agenci Urzędu Celno-Imigracyjnego, zwanego chwytliwie ICE (lód), wbijają do szkół, szpitali i kościołów, wyłapują osoby o ciemniejszym kolorze skóry i – bez jakiegokolwiek wyroku sądowego – pakują je do samolotów i wysyłają do salwadorskiego megawięzienia CECOT, które szczyci się tym, że nikt żywy z niego nie wyszedł. Na początku czerwca, w związku z protestami mieszkańców Los Angeles wobec rajdów ICE, Trump wysłał do Kalifornii 4 tys. funkcjonariuszy Gwardii Narodowej i 800 marines, wbrew protestom gubernatora Gavina Newsoma, który podkreśla, że prezydent nie ma prawa szczuć jego stanu wojskiem federalnym bez jego zgody. Ostatnio jednak Trump zezwolił na to, żeby z jego brygad specjalnych 200 gwardzistów wróciło do swojej stałej pracy – albowiem lipiec to w Kalifornii okres pożarów, a jednym z podstawowych zadań Gwardii Narodowej jest ratowanie i transport ludzi podczas pożarów. Hojność Przywódcy Wolnego Świata nie ma granic.

Senat USA przyjął „wielką piękną ustawę" Trumpa, która dokonuje fundamentalnych przesunięć w amerykańskim budżecie. 1 proc. najbogatszych Amerykanów zapłaci dzięki niej 975 mld dol. podatków mniej. 20 proc. najbogatszych z tego 1 procenta otrzyma dodatkowo 211 mld dol. zwolnień z podatków od nieruchomości. Wielkie korporacje zapłacą o 918 mld dol. mniej. W ramach troski o zbilansowanie budżetu Trump obciął 1,1 bln dolków z publicznych ubezpieczeń zdrowotnych Medicaid i tzw. Obamacare, pozbawiając 16 mln Amerykanów dostępu do opieki medycznej. Zdaniem badaczy z Yale przyniesie to 50 tys. dodatkowych zgonów rocznie.

AWŁ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Wojna izraelsko-irańska się skończyła, zatem wracamy na Ukrainę. 1 lipca amerykański departament obrony zadecydował o wstrzymaniu pomocy militarnej dla Kijowa. *Ta decyzja została podjęta, aby postawić interesy Ameryki na pierwszym miejscu, po przejrzeniu przez departament obrony wsparcia wojskowego i pomocy udzielanej przez nasz kraj innym krajom na całym świecie. Siła Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych pozostaje niepodważalna – wystarczy zapytać Iranu* – oświadczyła Anna Kelly, zastępca rzecznika Białego Domu.

☆ Andrzej Duda wybrał się do Kijowa w pożegnalną podróż zagraniczną. Po standardowej sesji obściskiwania się z Wołodymyrem Zełenskim Duda został odznaczony ukraińskim Orderem Wolności i wygłosił przemówienie. *Nie spodziewałem się, że spotka mnie tak wielki zaszczyt, że pan prezydent w trakcie dzisiejszej uroczystości, obok żon i matek poległych żołnierzy i obok frontowych bohaterów, odznaczy także i mnie, prezydenta z Polski* – powiedział wzruszony Duda. My nie spodziewaliśmy się, że Polska będzie miała tak żałosnego prezydenta.

☆ Uczucie okazał także Zełenski: *Z Andrzejem mam super relacje. Rozmawiam z nim codziennie, to jeden z tych liderów, z którym mam bardzo bliskie relacje. On mnie pyta, co ja teraz robię. Pyta, jak pomóc. Mówi, że na przykład jest krew i Polska chce ją przekazać. Ja mu mówię, poczekaj chwilę na linii. I równolegle dzwonię do wojskowych, mówię im, że Polska proponuje krew. Bierzemy? Tak, bierzemy.* W końcu dowiedzieliśmy się, czyją zasługą są notoryczne niedobory w bankach krwi.

☆ *Kreml rusyfikuje ukraińskie dzieci* – alarmuje „Rzeczpospolita". *Ze szkół w okupowanych częściach Ukrainy od 1 września zniknie nauka języka ukraińskiego. Rosyjscy propagandyści znów mówią, że jest on „dialektem" rosyjskiego.* (…) *Na okupowanych terenach zniknie też ze szkół przedmiot literatura ukraińska. A z podręczników literatury rosyjskiej dla szkół w całym kraju usunięto wszelkie wzmianki o Ukrainie i Kijowie. Ofiarą cenzury padł m.in. pochodzący z Ukrainy pisarz Mikołaj Gogol i jego utwory* – czytamy w artykule Andrzeja Łomanowskiego. Po pierwsze Kreml nikogo nie musi rusyfikować, gdyż dzieci w Donbasie także przed wojną mówiły po rosyjsku. Po drugie język ukraiński zostanie w szkołach i będzie przedmiotem nieobowiązkowym, uczonym na życzenie rodziców. Po trzecie Gogol nie pochodził z Ukrainy (która w jego czasach nie istniała), lecz z Imperium Rosyjskiego. Po czwarte książki Gogola niezmiennie są w rosyjskim kanonie lektur. Cztery bzdury w dwóch akapitach – niezły wynik.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 798b5f08a6

„NIE" rozmawia z MAHMOUDEM KHALIFĄ, ambasadorem Palestyny

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ludobójstwo na żywo

– Jaka jest obecnie sytuacja w Strefie Gazy?

– Katastrofalna w pełnym znaczeniu tego słowa. Po zakończeniu wojny z Iranem Izrael skierował całą machinę śmierci na Gazę i nie ma dnia, w którym pod izraelskimi bombami nie zginęłoby 50 czy 100 Palestyńczyków. Izrael ostrzeliwuje infrastrukturę cywilną i blokuje pomoc humanitarną, żeby Gaza była miejscem niezdatnym do życia.

– 27 czerwca izraelski dziennik „Haaretz" ujawnił, że izraelscy żołnierze na rozkaz swych dowódców strzelali do tłumów Palestyńczyków czekających na pomoc humanitarną. Informatorzy gazety wskazują, że dziennie przy punktach pomocy humanitarnej zabijanych jest nawet kilkadziesiąt osób, a ministerstwo zdrowia w Gazie podało, że w ciągu miesiąca podczas odbierania pomocy zginęło 549 Palestyńczyków, a ponad 4 tys. zostało rannych. Dlaczego Izrael, który sam koordynuje dostarczanie pomocy humanitarnej, strzela do czekających na nią Palestyńczyków?

– Rząd Izraela przekazuje głodującej Gazie wyłącznie śmierć, a cała pomoc humanitarna przekazywana jest przez organizacje międzynarodowe, kraje arabskie i zwykłych Palestyńczyków. Izrael jedynie kontroluje przekazywanie pomocy do Gazy, wykorzystując do tego amerykańską Gaza Humanitarian Foundation (GHF) – organizację niezdolną do sprawiedliwej dystrybucji pomocy. Ostatnio widzieliśmy ataki na punkty pomocowe dokonywane przez samych Izraelczyków albo wspierane przez nich grupy, które rozkradają te dary i odsprzedają je mieszkańcom po spekulacyjnych cenach: jeden pomidor kosztuje 4-6 dolarów a kilogram przeterminowanej mąki 60 dol. Zwykli Palestyńczycy, którzy godzinami cierpliwie czekają na jedzenie, są bestialsko mordowani – izraelscy żołnierze strzelają do nich jak do kaczek.

– Czemu to wszystko ma służyć?

Moim zdaniem

systemowe znęcanie się nad Palestyńczykami w Gazie ma skłonić ich do emigracji. Izrael chce, żeby wszyscy Palestyńczycy wyjechali, a państwo palestyńskie przestało istnieć. Tego samego chcą Stany Zjednoczone.

– Donald Trump twierdzi, że chce zakończyć wojnę w Gazie.

– To czemu jej nie kończy? Wojna trwa już prawie dwa lata. Ludzie giną, głodują. Ja nie wierzę Trumpowi, gdy biada on nad losem głodujących, pozbawionych opieki medycznej i masowo mordowanych mieszkańców Gazy. To Amerykanie finansują i dostarczają broń Izraelowi. Gdyby nie amerykańskie wsparcie, Izrael nie byłby w stanie zaatakować. Sam prezydent Trump mówił wyraźnie, że celem Stanów Zjednoczonych jest wypędzenie Palestyńczyków i przejęcie Strefy Gazy.

– Na sytuację Palestyńczyków zareagowała jednak Organizacja Narodów Zjednoczonych. 24 czerwca biuro ONZ ds. praw człowieka potępiło stosowanie przez Izrael żywności jako broni.

– Obowiązkiem społeczności międzynarodowej jest obrona cywilów oraz zapewnienie funkcjonowania szpitali, szkół i uniwersytetów. Izrael nie dopuszcza jednak jakichkolwiek organizacji międzynarodowych do Strefy Gazy. Przed chwilą mówiliśmy o dostawach żywności, agencja ONZ – UNRWA – prowadzi pełną ewidencję mieszkańców Gazy. Jej pracownicy od 75 lat pomagali Palestyńczykom i wiedzą, jak to robić, ale od stycznia Izrael całkowicie zablokował działalność agencji. Przekazywanie śladowej pomocy, absolutnie niezaspokajającej potrzeb dwóch milionów mieszkańców Gazy, zlecono zarejestrowanej w Stanach Zjednoczonych Gaza Humanitarian Foundation, która zorganizowała cztery punkty wydawania żywności, gdzie izraelscy żołnierze regularnie organizują pogromy.

– Kilka dni temu ujawniono, że w workach z mąką dystrybuowanych przez GHF znaleziono silnie uzależniający narkotyk – oxycontin. Władze Gazy oskarżają Izrael o próbę wywołania epidemii narkomanii i narażanie życia odbiorców pomocy. Co Izrael chce osiągnąć?

– Cała działalność GHF jest podejrzana. Najpierw znęcanie się nad głodującymi ludźmi, później ostrzeliwanie czekających na pomoc, a teraz to, o czym pan mówi – próba rozpowszechniania narkotyków. Gazańczycy są jednak ostrożni, sami wykryli narkotyki i poinformowali o tym świat. Izrael chce fizycznie wyniszczyć Palestyńczyków, upodlić ich i zmusić do wyjazdu.

– Część obserwatorów twierdzi, że inwazja Izraela na Iran dała Palestyńczykom w Gazie chwilę oddechu, bo Tel Awiw musiał przekierować swój arsenał w kierunku Teheranu…

– Absolutnie nie! Atak Izraela na Iran jedynie odwrócił oczy świata od sytuacji w Gazie. Nikogo nie interesowało bombardowanie palestyńskich cywilów. Dla światowych mediów życie ponad dwóch milionów ludzi jest sprawą poboczną.

– Inwazja na Iran może jednak pośrednio odmienić losy Strefy Gazy. Najpopularniejsza izraelska gazeta – „Israel Hayom" – ujawniła plan dla Gazy, którego przyjęcie Donald Trump miał wymusić na Beniaminie Netanjahu. Wojna ma się zakończyć w ciągu dwóch tygodni, odpowiedzialność za Strefę Gazy mają przejąć cztery państwa arabskie, w tym Egipt i Zjednoczone Emiraty Arabskie, a przywódcy Hamasu mają opuścić Gazę.

– Gaza jest integralną częścią Państwa Palestyńskiego, a prezydent Trump powinien rozmawiać o jej przyszłości z prezydentem Mahmudem Abbasem – zna jego adres i numer telefonu. Gdyby prezydent Trump faktycznie chciał zakończyć tę ohydną wojnę, to nie musielibyśmy czekać dwóch tygodni, mógłby to zrobić natychmiast. Wojnę irańsko-izraelską zakończył w ciągu kilku godzin. Trump może zmusić Izrael do natychmiastowego zawieszenia broni, rozpoczęcia procesu pokojowego i powrotu do rozwiązania dwupaństwowego.

– Dotychczas Beniamin Netanjahu nie dopuszczał istnienia jakiejkolwiek państwowości palestyńskiej, ale dziś mówi się, że w zamian za dołączenie Syrii i Arabii Saudyjskiej do tzw. porozumień Abrahamowych Netanjahu może się zgodzić na powrót do rozwiązania dwupaństwowego, pod warunkiem podjęcia reform przez władze palestyńskie…

– Normalizacja stosunków ma jeden jedyny warunek – rozwiązanie dwupaństwowe. O tym mówił Arabski Plan Pokojowy z 2022 r. Podstawą pokoju są stabilność i sprawiedliwość, a może dojść do tego jedynie dzięki uznaniu palestyńskiej państwowości. Musimy jak najprędzej po zakończeniu wojny doprowadzić do trwałego pokoju – czyli rozwiązania dwupaństwowego. Proszę pamiętać, że w Gazie dzieci od dwóch lat nie chodzą do szkół, nie przeprowadza się szczepień obowiązkowych, nie ma dostępu do służby zdrowia, istnieje bardzo wysokie ryzyko epidemii, a jednocześnie zniszczona jest cała infrastruktura. Naszym obowiązkiem jest nie tylko zatrzymać ludobójstwo, ale także jak najszybciej przywrócić normalność w Gazie. Nie zapominajmy, że to samo co w Strefie Gazy – tylko w mniejszej skali – dzieje się także na Zachodnim Brzegu, gdzie osadnicy oraz izraelskie wojska terroryzują Palestyńczyków i regularnie dokonują pogromów. Tam również trzeba przywrócić normalność.

– A czy władze palestyńskie są gotowe do reform, będących warunkiem powrotu do rozmów o rozwiązaniu dwupaństwowym?

– Reformy już zaczęliśmy wdrażać – mamy bezpartyjny rząd ekspercki i ten rząd już ma plany rozwoju Strefy Gazy po zakończeniu izraelskiej inwazji. Nie zapominajmy także o roli Unii Europejskiej w regionalnym procesie pokojowym.

– Do rozmów o rozwiązaniu dwupaństwowym odnieśli się koalicjanci Netanjahu – Becalel Smotricz i Itamar Ben-Gwir – którzy oświadczyli, że nigdy nie zaakceptują jakiejkolwiek formy państwowości palestyńskiej.

– Obecny rząd w Tel Awiwie ma charakter ekstremistyczny – w historii Izraela nie było takich przywódców jak Netanjahu, Smotricz czy Ben-Gwir – ale nawet oni muszą zrozumieć, że nie można dłużej zarządzać przez konflikt. W regionie musi wreszcie zapanować stały pokój.

– A co jeśli nie zrozumieją?

– Donald Trump ma możliwości, żeby ich bardzo szybko przekonać. To Stany Zjednoczone dostarczają Izraelowi broń. Wszystko zależy od USA, a nie od Smotricza czy Ben-Gwira. Ponadto Unia Europejska powinna nałożyć sankcje na Izrael, żeby ten w końcu zrozumiał, że społeczność międzynarodowa sprzeciwia się jego działaniom.

– A czy w Izraelu są jakiekolwiek siły, które faktycznie dążą do trwałego porozumienia z Palestyną?

– W ciągu niemal 20 lat rządów Netanjahu zlikwidowano w Izraelu wszystkie siły polityczne, które były chętne do rozwiązania pokojowego i traktowania Palestyńczyków jak sąsiadów. Ale zwykli Izraelczycy mają już dość wojny – a jak zwykli ludzie żądają pokoju, to muszą pojawić się politycy, którzy to żądanie spełnią. Wyciągamy rękę do każdej strony, która szuka pokoju.

– A jaka będzie sytuacja Strefy Gazy po zakończeniu wojny? W chwili obecnej jest ona zrównana z ziemią, a Palestyna nie jest bogatym państwem, które stać na odbudowę dwumilionowego miasta.

– Izrael musi wypłacić reparacje, które pozwolą na odbudowę Gazy. To oczywiste, że agresor powinien ponieść koszty wojny. Istnieją także plany międzynarodowej konferencji na rzecz odbudowy Strefy Gazy po zakończeniu wojny.

– A jak ocenia Pan polskie stanowisko wobec Izraela? Kilka miesięcy temu prezydent Duda i premier Tusk licytowali się, kto pierwszy zaprosi Beniamina Netanjahu do Polski, mimo że jest on ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny.

– Polskie władze powoływały się na względy historyczne i wskazywały na wyjątkową okoliczność, jaką była 80. rocznica wyzwolenia nazistowskiego obozu Auschwitz-Birkenau – jednakże dla mnie to postępowanie jest mimo wszystko nieakceptowalne. Historia powinna być dla nas nauczką. Auschwitz powinno nas nauczyć sprzeciwu dla poniżania i mordowania niewinnych ludzi, a nie stosowania podwójnych standardów. Albo szanujemy prawo międzynarodowe, albo zapewniamy ochronę zbrodniarzom. Trzeciej drogi nie ma.

– À propos Trzeciej Drogi – kilka miesięcy temu wiceminister spraw zagranicznych Władysław T. Bartoszewski z PSL-u oznajmił, że Izrael prowadzi wojnę w Gazie „w bardzo cywilizowany sposób". Czy dostrzega Pan zrozumienie dla sytuacji Palestyńczyków wśród polskich polityków?

– Korespondowałem w tej sprawie z polskim MSZ i słowa Bartoszewskiego nie są stanowiskiem polskiego rządu. Co więcej, mogę powiedzieć, że nie jest to nawet stanowisko PSL-u. To są wyłącznie prywatne fantazje wiceministra Bartoszewskiego, które powinien przemyśleć.

– Polska uznaje palestyńską państwowość, ale wielu polityków z niemal wszystkich partii, choćby były premier Mateusz Morawiecki czy przewodnicząca klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, wprost popierają postępowanie Izraela…

– Tak, ale jednocześnie wielu polskich polityków potępia działalność Izraela.

– Dlatego chciałem zapytać o całą polską klasę polityczną. Czy jest ona świadoma tragedii, która ma miejsce w Gazie?

– Świadomość ma każdy, bo ludobójstwo w Gazie jest transmitowane na żywo. Wszystkie zbrodnie, które Izrael popełnia w Gazie – bombardowanie agencji ONZ, szkół czy szpitali – są na ekranach milionów telewizorów. W tym miejscu chciałbym wspomnieć śmierć polskiego wolontariusza Damiana Sobola, który został zamordowany przez izraelskich żołnierzy w Gazie dlatego, że niósł pomoc humanitarną. Organizacja, w której służył – World Central Kitchen – pomagała po wybuchu wojny nie tylko w Gazie, ale także w Izraelu. Nagranie z zamordowania Sobola także mogliśmy oglądać. Nie ma więc mowy o politykach, którzy nie wiedzą, co się dzieje w Gazie. Politycy wiedzą także, jak Izrael łamał porozumienia z Oslo i jak obecny premier Netanjahu podżegał do zamordowania twórcy pokojowego porozumienia z Palestyną – Icchaka Rabina. Inną sprawą jest, co politycy robią z tą wiedzą.

– A jak na sytuację Palestyny wpływa poparcie organizacji pozarządowych i oddolne poparcie społeczne?

– Głosy zwykłych ludzi, głosy ludzkich sumień mają ogromny wpływ. Ludzie o tym rozmawiają, ludzie protestują, ludzie manifestują na ulicach Warszawy, Berlina, Paryża, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Później ci ludzie idą na wybory i tym samym zmuszają polityków, żeby stanęli po stronie sprawiedliwości i człowieczeństwa. Problemem są media, które bezmyślnie powtarzają narrację izraelską i amerykańską, zamiast pochylić się nad losem tych zwykłych ludzi, którzy mieli swoje plany, marzenia i przyszłość, a zostali bezlitośnie zamordowani. Te ponad 50 tys. ofiar to nie statystyka, tylko 50 tys. ludzkich tragedii i nad każdą z nich powinniśmy się pochylić. Chcemy podziękować każdemu za głos solidarności z naszym narodem. Każdy taki głos jest głosem sumienia, głosem „Nigdy więcej!". Nigdy więcej wojny w Polsce, w Strefie Gazy, nigdzie.

Rozmawiał **MAREK SANOWSKI**

eprasa.pl 798b5f08a6

Uzusieni

W Polsce niefajnie jest być emerytem z chorobą Alzheimera

Nasz system emerytalny przypomina labirynt zmyślnie zaprojektowany nie po to, by doprowadzić obywatela do godziwej starości, lecz by go po drodze złupić. ZUS – instytucja, której misją nie jest troska o emeryta, lecz troska o własny budżet – udaje, że działa dla dobra publicznego. A działa – gdy się spojrzy z bliska – jak przemyślny menedżer kasyna, którego rolą jest dopilnować, by klient nigdy nie wygrał za dużo. Dlatego każdy, kto zbliża się do wieku emerytalnego, powinien zaopatrzyć się nie w kawior i szampana, lecz w dobrego radcę prawnego.

Miesiąc wart tysiące

W 2025 r. osoby przechodzące na emeryturę w lutym mogły liczyć na automatyczną waloryzację marcową – wynoszącą 5,52 proc. Kto więc złożył wniosek w lutym, otrzymał początkową emeryturę 3000 zł, a od marcowej waloryzacji 3165,60 zł. Rocznie to 1987 zł więcej. Dodatkowo taka osoba ma zapewnioną trzynastkę, która w tym roku wynosi co najmniej 1879,27 zł brutto. Razem z waloryzacją to zysk ponad 3800 zł. A wszystko to z tytułu znajomości jednego przepisu i dobrej daty złożenia wniosku.

Jeszcze korzystniejszy jest lipiec. W 2025 r. waloryzacja składek w czerwcu przekroczy 14,87 proc. Osoby, które zaczekały i złożyły wniosek w lipcu, zwiększyły swoją emeryturę nawet o 300–400 zł miesięcznie. To oznacza od 3600 do 4800 zł rocznie więcej. Dla wielu to więcej niż trzynastka i czternastka razem wzięte.

No właśnie – czternastka. W 2025 r. przewidziano ją dla osób o emeryturze nieprzekraczającej 2900 zł brutto. Dlatego dobrze wyliczona i zaplanowana emerytura może zmieścić się tuż pod tym progiem – dając 14. świadczenie warte nawet 1400 zł na rękę. Przekroczysz limit – nie dostajesz nic. Idiotyzm polega na tym, że kto złożył wniosek w marcu, stracił waloryzację startową. Czyli jeśli emerytura wynosiłaby 3000 zł, to pozostanie 3000 zł. Kto złożył wniosek miesiąc wcześniej, miał 3165,60 zł.

Dlatego jeśli ktoś chce mieć pewność, że emerytura to nie kara za życie, lecz jego spokojna końcówka, niech nie idzie do ZUS-u sam. Niech weźmie kogoś, kto zna się na tej grze. Bo gra ta nie jest uczciwa.

Po cholerę toto żyje

W Polsce w 2025 r. żyje ponad 7 tys. stulatków. Kobiet – 5,5 tys. Mężczyzn – ledwie nieco ponad 1,5 tys. Każdej takiej osobie przysługuje emerytura honorowa. ZUS co miesiąc dopisuje im do konta 6246,13 zł. Otrzymanie świadczenia honorowego jest niezależne od pobieranej emerytury lub renty i stażu pracy. Jedynym warunkiem jest ukończenie 100 lat życia. Dlaczego zatem świadczenie to dostaje zaledwie 3,3 tys. osób? Bo, jak to w Polsce, nie wystarczy mieć 100 lat, trzeba jeszcze wiedzieć, że to coś daje i to nie z automatu.

Ale honorowa emerytura to luksusowy apartament w katalogu dodatków ZUS. W zakurzonej piwnicy socjalnej historii dogorywa coś takiego jak dodatek za tajne nauczanie. Wysokość? 348,22 zł miesięcznie. Przysługuje tym, którzy w czasie okupacji uczyli dzieciaki po polsku, ryzykując życie, żeby one mogły odmieniać „być" przez osoby. Tyle że dziś, żeby dostać ten dodatek, trzeba nie tylko dożyć, ale jeszcze pamiętać, gdzie się wypełnia wniosek. I umieć go wypełnić. O ile się wie, że on w ogóle istnieje.

W tym samym katalogu figuruje też dodatek kombatancki – również 348,22 zł. Dla tych, którzy walczyli, cierpieli albo przynajmniej siedzieli w jakimś radzieckim gułagu. Do tego przysługuje dodatek kompensacyjny w wysokości 52,23 zł. To dla wdów i wdowców. ZUS ogłasza, że jak masz prawo do więcej niż jednego z dodatków, to możesz wybrać któryś. Ale tylko jeden. Bo jak wiadomo, lojalność wobec państwa nie może być zbyt hojnie wynagradzana. Było walczyć raz, a dobrze.

Dodatek ten sam od lat waloryzowany jest z emeryturami i rentami. Ale – i tu jest kruczek – waloryzacja działa automatycznie tylko wtedy, gdy już się ten dodatek ma. Jeśli o nim nie wiesz, to państwo nie ma w zwyczaju przypominać. Ani pytać: „czy prowadziła pani może tajne nauczanie w Generalnym Gubernatorstwie?".

Zresztą w kraju, gdzie większość emerytów dostaje na rękę mniej niż 2700 zł, a samozatrudnieni mają przed sobą starość na poziomie 1300 zł brutto (jeśli nie zawieszali działalności), wspomniane 52 zł to raczej gest niż wsparcie. Tyle, co jedna paczka leków na receptę, ewentualnie półtora biletu kolejowego do miejsca, gdzie mieści się urząd, który ten dodatek może przyznać.

A więc mamy dodatki, mamy kombatantów, mamy nauczycieli konspiracyjnych. Tyle że nie mamy ich razem. Bo większość z tych, którym dodatki się należą, już nie żyje. A duża część o nich nie wie. Bo nikt im nie powiedział.

Wychodzi na to, że te dodatki istnieją głównie po to, żeby istniały. Bo nikt ich specjalnie nie promuje. A skoro tak, to państwo może ogłaszać, że dba o kombatantów, tajnych nauczycieli i stulatków. Bo przecież wszystko jest w przepisach. Tyle że – jak pokazuje praktyka – świadczenie społeczne, o którym nie wie jego odbiorca, nie różni się niczym od świadczenia nieistniejącego. Nie kosztuje więc państwa ani grosza.

Rachunki za PRL

Wypłata ryczałtu energetycznego w wysokości 312,71 zł miesięcznie rozpoczęła się w marcu 2025 r. Tak przynajmniej stoi w Monitorze Polskim, którego – nawiasem mówiąc – nikt nie czyta. Ryczałt przysługuje kombatantom, wdowom po kombatantach, żołnierzom przymusowo zatrudnianym i ich żonom. W skrócie: wszystkim tym, którzy w PRL walczyli, siedzieli albo kopali. Tyle że aby go dostać, trzeba nie tylko przeżyć, ale jeszcze mieć siłę do skakania po urzędach.

Kombatant nie ma lekko. Oprócz wieku, chorób i emerytury niższej niż inflacja musi sięgnąć po formularz ZUS-ERK, zdobyć decyzję Szefa Urzędu do spraw Kombatantów, zaświadczenie z WKU oraz wnieść podanie o ryczałt. Jeżeli coś źle wypełni – odpada. Jeżeli czegoś nie dopisze – odpada. Jeżeli umrze – też odpada. Państwo polskie lubi porządek.

Podobnie wygląda sytuacja z deputatem węglowym. W roku 2025 jego równowartość to 3228,73 zł rocznie – wypłacane w dwóch ratach. Ale żeby je dostać, trzeba mieć zaświadczenie z kopalni, być wdową po górniku albo sierotą po kolejarzu. Do tego formularz. Do tego decyzja. Do tego cierpliwość. Bo to nie jest świadczenie dla każdego – to przywilej dla tych, którzy pamiętają, co znaczyło „węgiel za darmo".

Państwo pamięta, bo ma przecież wszystko w przepisach. A każdy emeryt może sprawdzić, że przysługują mu 3 tony węgla albo 1800 kg ekwiwalentu. Problem w tym, że państwo emerytowi życia nie upraszcza – ono informuje w internecie. I to niezrozumiale dla emeryta.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Jak to na wojence

Weteran poszkodowany, który wyleciał na minie w Kandaharze albo dostał postrzał w irackiej Faludży, może dziś liczyć na… dodatek. Jeżeli ma odpowiedni papier i jeżeli nie mieszka za granicą. No i jeśli uszczerbek na zdrowiu został wyceniony według właściwego procenta. Od 5 do 130 proc. – w zależności od tego, ile w delikwencie zostało z człowieka. Stawki są sztywne, bo rzecz dotyczy urzędu.

Procent to też pieniądz. A pieniądz, wiadomo – nie śmierdzi, ale nie każdemu pachnie jednakowo. 94 zł za uszczerbek dziewięcioprocentowy, 188 – za 20-procentowy, 376 – za 30-procentowy. Jeśli ktoś ma pecha i uszczerbek powyżej 90 proc. – dostaje 130 proc. najniższej emerytury. W 2025 r. to dokładnie 2442,58 zł. Ale tylko w teorii. Bo w praktyce – trzeba najpierw przejść przez mur papieru.

Zacznijmy od decyzji. Nie swojej oczywiście – cudzej. Ministerialnej. MON albo MSWiA muszą stwierdzić, że jesteś poszkodowany. Muszą to stwierdzić na papierze. I nie wystarczy, że masz bliznę, protezę i PTSD. Musisz mieć decyzję. I najlepiej jeszcze zaświadczenie. Bez tego nie ma dodatku.

Kolejna grupa – żołnierze przymusowo zatrudnieni. Kopalnie, kamieniołomy, uran. Lata 1949–1959. Jeśli przeżyłeś i masz zaświadczenie z WKU, należy Ci się świadczenie w wysokości dodatku kombatanckiego. Czyli 348,22 zł miesięcznie.

Jeszcze inny przypadek – osoby deportowane do pracy przymusowej. Do Rzeszy. Do ZSRR. Do kopalń, baraków, obozów. Za każdy miesiąc – 17,46 zł. Maksymalnie za 20 miesięcy. Czyli do 349,20 zł miesięcznie. Ale musisz udowodnić. Papierami. Zaświadczeniami. Opinią stowarzyszenia. I mieć decyzję szefa Urzędu ds. Kombatantów.

Są też niewidomi cywile. Ofiary działań wojennych, wybuchów, eksplozji, ognia. Muszą udowodnić, że nie widzą. Ale to nie takie proste. Orzeczenie. Zaświadczenie od okulisty. Dokumentacja medyczna z okresu zdarzenia. Zeznania świadków. I oświadczenie o tym, że korzystają ze zwolnienia podatkowego. To nie żart. To proces. I papierowy test na ślepotę władzy.

A jeśli ktoś niewidomy mieszka za granicą? To przepraszamy. Świadczenia nie wypłacimy. Można upoważnić kogoś w Polsce. Albo założyć konto. Ale najlepiej nie wyjeżdżać. Bo dodatki są tylko dla tych, którzy są tu. I są w systemie. No i potrafią znaleźć właściwy Monitor Polski. Wiedzą, co to WKU. I pamiętają, do której szuflady 60 lat temu włożyli jakiś urzędowy kwit pieczętowany orłem bez korony.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Gdyby wierzyć rządowej propagandzie, to jesteśmy krajem, który dorównał Niemcom w poziomie życia, a może nawet je przegonił. Problem w tym, że Eurostat nie zna tej bajki. I właśnie zamiast standardowego PKB – który pokazuje jedynie, ile się w kraju produkuje – wziął na tapet rzeczywistą konsumpcję indywidualną, czyli AIC – Actual Individual Consumption. To wskaźnik, który pokazuje, ile dóbr i usług trafia do zwykłych ludzi, niezależnie od tego, czy płacą za nie z własnej kieszeni, czy płaci rząd albo jakaś organizacja. I okazało się, że AIC na mieszkańca w Polsce w 2024 r. wyniósł 84 proc. średniej unijnej. Czyli że żyjemy o 16 proc. biedniej niż przeciętny Europejczyk. Wyżej w tym rankingu są na przykład Słowenia, Czechy, a nawet Estonia. Polacy są bliżej Węgrów i Bułgarów niż Holendrów, Niemców czy Luksemburczyków, gdzie wskaźnik AIC to odpowiednio 120, 118 i 141 proc. unijnej średniej. Rząd oczywiście zaraz ustami rzecznika Szłapki powie, że to tylko statystyki, że liczy się uśmiech dziecka, zapach świeżo pieczonego chleba i wzrost produktywności w sektorze rybołówstwa. Ale jak w kraju, w którym rzeczywista konsumpcja odstaje o 16 proc. od europejskiej średniej, można mówić o dobrobycie? Chyba że chodzi o dobrobyt władzy – tej, która nie musi liczyć na AIC, bo jej codzienna konsumpcja opłacana jest z budżetu. Czyli z pieniędzy tych samych Polaków, którzy według Eurostatu zbyt wiele nie konsumują.

● I nie tylko Eurostatu. W 2024 r. – jak wynika z raportu GUS – aż 5,2 proc. Polaków żyło poniżej minimum egzystencji. Nie minimum komfortu, nie minimum wygody, tylko granicy biologicznego przeżycia. Owszem, odsetek ten spadł w porównaniu z rokiem 2023 o 1,4 pkt proc., ale ten spadek nie nadrobił tego, co wydarzyło się rok wcześniej, kiedy ubóstwo skrajne wzrosło o 2 punkty. Ubóstwo relatywne – czyli sytuacja, w której ktoś ma znacznie mniej od reszty społeczeństwa i nie stać go na życie na poziomie sąsiadów – wzrosło do 13,3 proc. To o 1,1 punktu więcej niż w 2023 r. Czyli co ósmy Polak funkcjonuje na marginesie ekonomicznego życia. A mówimy o roku, kiedy inflacja wprawdzie nieco zwolniła, ale ceny i tak trzymają się wysoko jak górska kozica. Zasięg ubóstwa ustawowego spadł do 2,6 proc., lecz i tu jest haczyk. Bo progi, według których liczy się to ubóstwo, nie były podnoszone od 2022 r. Oznacza to, że coraz mniej osób kwalifikuje się jako „biedni według przepisów", nie dlatego, że stali się bogatsi, tylko dlatego, że statystyka ich biedy już nie zauważa. Z danych GUS wynika też, że najgorzej mają rolnicy – aż 11,4 proc. z nich żyje w ubóstwie skrajnym. Nieco lepiej mają się osoby utrzymujące się z niezarobkowych źródeł – 10,8 proc. z nich wegetuje poniżej minimum egzystencji. Pracownicy? 4,7 proc. biednych. Emeryci? 4,9 proc. Renciści? Już 6 proc. Na wsiach ubóstwo skrajne sięga 8,8 proc. mieszkańców, podczas gdy w miastach ledwie 2,7 proc. Czyli że wieś żyje w innym kraju. Takim, gdzie do lekarza jest 30 km, do szkoły 15, a do dobrobytu – lata świetlne. Najgorzej mają jednak gospodarstwa wielopokoleniowe z dziećmi. Tam ubóstwo skrajne sięga 7,3 proc. Dla porównania: w jednoosobowych gospodarstwach – 1,2 proc. Co ciekawe, zagrożenie niedostatkiem, czyli życiem poniżej minimum socjalnego, dotyczy aż 41,3 proc. Polaków. To mniej niż rok wcześniej, ale wciąż ponad 4 na 10 obywateli nie jest w stanie pozwolić sobie na normalne funkcjonowanie. Ale rząd mówi, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Bo jeśli nie podnosi się progów ubóstwa, to statystycznie robi się bogato. Jeśli zaniża się koszyk inflacyjny i zmienia jego strukturę, to ceny też nie rosną. Jeśli liczy się średnie zarobki razem z prezesami banków, to wychodzi, że wszyscy zarabiamy po 8 tys. zł. A potem władza się dziwi, że ludziom się w to nie chce wierzyć.

● Nie tak dawno temu na pierwszej stronie „Wyborczej" można było przeczytać o „orlenowskiej propagandzie", o „upadku niezależnych mediów" i „ciemnych chmurach nad wolnością słowa". Polska Press – przejęta przez Orlen – była symbolem tego wszystkiego, co najgorsze w podporządkowywaniu dziennikarstwa interesom władzy. I właśnie tej Polsce Press „Wyborcza" oddaje dziś w ręce... swój druk. W oficjalnym komunikacie zarząd „Wyborczej" ogłosił rozpoczęcie procedury zwolnień grupowych. Do końca sierpnia z pracą pożegna się 49 osób – niemal 10 proc. zatrudnionych. Zwolnienia dotyczą działu poligrafii i wsparcia operacyjnego. Bo od września 2025 r. „Wyborczą" drukować będzie podmiot zewnętrzny. Orlenowska Polska Press właśnie. Zmiana tłumaczona jest cięciem kosztów. Agora liczy na oszczędności rzędu 6 mln zł rocznie. O moralności i niezależności nie wspomniano ani słowem. Ale przecież nie ma w tym hipokryzji. To tylko strategia. Ekonomiczna.

● W PRL kelnerzy znani byli z cudownej umiejętności znikania z resztą. A zupa dnia była zawsze ta sama, tylko z inną nazwą. Film „Gangsterzy i filantropi" bawił do łez, pokazując realia, w których ręka kelnera szybsza była od oka. I nagle okazuje się, że oto żyjemy w sequelu tamtych czasów. Raport UOKiK wykazał, że polska gastronomia wróciła do standardów z epoki gomułkowskiej. Urząd przebadał 626 lokali gastronomicznych. W 469 z nich, czyli w 75 proc., wykryto nieprawidłowości, więc przekręt w tej branży to nie jest margines. To norma. Na pierwszym miejscu – nieoznakowane ceny. W ponad 350 przypadkach brakowało informacji o gramaturze, cennik był niekompletny albo co innego widniało w menu, a co innego na paragonie. Klient zamawia pierogi za 28 zł, a płaci 33, bo „zielenina ekstra". W niemal co czwartym lokalu – 143 przypadki – używano wadliwych wag. Pracownicy korzystali z domowych sprzętów, nielegalizowanych, omijając kontrolę metrologiczną. Efekt? Klient myśli, że kupił 200 g pasztetu, a dostał 132. W 17 proc. miejsc porcje były mniejsze od zadeklarowanych. W klasykach kulinarnych jak burger czy sałatka cezar, brakowało odpowiednio 78 i 65 g. Strata? Blisko 8 zł na jednym daniu. Przez setki klientów dziennie robi się z tego gastronomiczne eldorado. Podmienianie składników to też klasyk rodem z PRL. Oscypek? Raczej rolada ustrzycka. Ser feta? A jakże, Favita z dyskontu. Mięso z soli? Nie, to limanda z czwartkowego rzutu. W ponad 10 proc. lokali kelnerzy serwowali coś innego niż zapowiedziano w menu. I jeszcze inne smaczki: brak opłat za opakowania jednorazowe – 8,2 proc., brak oznaczeń dotyczących szkodliwości alkoholu – 16,3 proc., nieprzestrzeganie zakazu palenia – 7,7 proc. Wydano więc 163 decyzje o karach łącznie na 177 750 zł za nieprawdziwe informacje cenowe, nałożono 110 mandatów na sumę 17 700 zł, a 55 spraw trafiło do sądów. Co i tak niczego dla klienta nie zmieni. Bo jak wszystko będzie lege artis, to za niedoważoną rybę zamiast zapłacić 60 zł, teraz w zgodzie z gramaturą zabeceluje 80 zł.

TTJ

eprasa.pl 798b5f08a6

Między dziećmi i kibolami

Czasem sportu bardzo nie lubię, ale nie mogę go zostawić.

Za każdym razem, gdy słyszę, że zawodniczka lub zawodnik zaczynali treningi w wieku kilku lat, krzywię się – choć wiem, że jest to konieczne. Innej drogi sięgania po sukcesy po prostu dziś nie ma. Sportowcy wyczynowi to gladiatorzy wychowywani niczym ich starożytni poprzednicy, w prowadzonych przez lanistów zamkniętych ludus.

Fajki i boisko nie dla małolatów

Dziesiątki razy rozmawiałem o tym z trenerami. – Nie martw się – przekonywali mnie. – Te dzieciaki początkowo nie są poddawane dużym obciążeniom. One nawet nie wiedzą, że trenują, myślą, że to zabawa…

Krótko mówiąc, oszukuje się dzieci, ale ich rodzice z pełną świadomością przyprowadzają na treningi swoje pociechy. Chcą mieć w rodzinie gwiazdę, która zyska nie tylko sławę, ale także pieniądze. Oczywiście niewielki procent dzieciaków zostanie gwiazdami sportu. Część odpadnie przez kontuzje, inne się zbuntują i usiądą przed komputerem z ulubionymi grami.

Gdy wpadnie się już w treningowe tryby, trudno się z nich wydostać. Inne ścieżki rozwoju prędko znikają. Rówieśnicy się uczą, bawią, a nasza młodociana gwiazda trenuje. Sportowcy mają oczywiście swój tryb nauczania: w szkołach mistrzostwa sportowego albo w indywidualnym systemie. Tylko bardzo silne i zdeterminowane jednostki potrafią połączyć treningi z efektywną nauką. Niektórzy po zdaniu matury zwracają się do uczelni, które oferują dyplom za opłatą lub za firmowanie znanym nazwiskiem przybytku wiedzy.

Za moich czasów treningi zaczynało się w wieku kilkunastu lat, a więc – można powiedzieć – już świadomie. Niektóre sporty wymagały ukończenia odpowiedniego wieku – jak kupowanie papierosów i alkoholu. Sztangistom początkowo wolno było trenować z samym gryfem dla nauczenia się techniki poszczególnych bojów, ciężary zakładano później (już zapomniałem, ile lat trzeba było ukończyć). Jakieś ograniczenia istniały w boksie.

Bardzo chciałem być sportowcem. Mój ojciec, znany lekarz, skonsultował się z kolegami i wspólnie uradzili, że budowa ciała i wydolność predestynują mnie do pływania. O nie! Perspektywa miotania się od jednego końca basenu do drugiego i z powrotem nie bardzo mi się podobała. Nie mówiąc już o konieczności wczesnego wstawania z łóżka, żeby zdążyć na trening przed rozpoczęciem zajęć w szkole; od dziecka lubiłem rano się wysypiać. Zostało mi to do dziś.

Na szczęście warszawska Spójnia wyszukiwała młodzieńców do sekcji piłki ręcznej i tak trafiłem na swój sport. Oczywiście o żadnym koszarowaniu nie było mowy. Trenowaliśmy trzy razy w tygodniu po dwie godziny; po szkole. Gdy przychodziły wakacje, dostawaliśmy od trenera indywidualne zalecenia, ja głównie pracowałem nad wydolnością i ku zdziwieniu turystów biegałem szlakami w Tatrach w krótkich spodenkach, koszulce i adidasach, które jeszcze tak się nie nazywały, mówiono na nie trampki.

Nie był to jakiś niewydolny system, skoro z mojego, jeśli można tak powiedzieć, zaciągu w Spójni dwaj koledzy trafili później do pierwszej – podówczas najwyższej – ligi.

Kolarz na radiowej smyczy

Sportowcy traktowani są często jak maszyny. To także mi się nie podoba, choć mam świadomość, że dzisiaj inaczej nie można.

Widać to szczególnie w moim ukochanym kolarstwie. Zawodnik ma przed sobą komputerek pokazujący nie tylko przejechane kilometry, prędkość, tętno, ale także wydatkowaną moc. Dzięki słuchawce i mikrofonowi kolarz pozostaje w stałej łączności z wozem technicznym, w którym jedzie dyrektor jego zespołu. To on decyduje, co ma robić.

Z wozu technicznego padają polecenia, które nie zawsze muszą podobać się zawodnikowi, ale które zobowiązany jest wykonać. Zdarza się, że kolarz jadący w czołówce słyszy, że ma przestać kręcić i zaczekać, aby pomagać gwieździe zespołu. O indywidualnym sukcesie nawet nie wolno mu pomyśleć. Swego czasu, w 2015 r., Rafał Majka nie zaczekał podczas Tour de France na słynnego Alberta Contadora, który upadł na trasie. Tłumaczenie Polaka nie wszystkich przekonało. Stracić miał połączenie radiowe z dyrektorem ekipy, bo kibice polewali go wodą na trasie i zalali mu wożoną na plecach radiostację. Lider ekipy Tinkoff-Saxo stracił na etapie ponad dwie minuty.

Warto zaznaczyć, że Rafał Majka ma czym się pochwalić: dwukrotnie wygrał klasyfikację górską Tour de France, podczas igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro wywalczył brązowy medal. Obecnie pomaga (i to jak!) Słoweńcowi Tadejowi Pogačarowi w drużynie UAE Team Emirates. Pewnie tych sukcesów byłoby więcej, ale kolarz z Zegartowic sam przyznaje, że woli pomagać liderom, niż samemu być liderem. Po prostu – twierdzi – nie mam przywódczych cech charakteru.

Podczas wieloetapowych wyścigów szansa na indywidualny sukces dla pomocników powstaje tylko wówczas, gdy ich lidera kraksa lub choroba wykluczy z imprezy. Wówczas mogą pomyśleć o sobie.

Krótko mówiąc, kolarz szosowy jest jak zaprogramowana maszyna do wykonywania zadań. Trochę się to zmienia podczas mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich, bo tam nie wolno korzystać z radia. Czesław Lang, który dobrze pamięta czasy kolarstwa bez elektroniki, w organizowanym przez siebie wyścigu dla młodych kolarzy – Orlen Wyścig Narodów – też wyklucza pomoc radia. I bardzo dobrze. Niech młodzi uczą się samodzielnie podejmować decyzje na szosie.

Gdybym dobrze policzył, to w wozie prasowym za peletonami objechałem Ziemię wokół równika dobrych kilkanaście razy. Oczywiście wszystkie ekipy miały swoich liderów i koledzy byli zobowiązani im pomagać; takie po prostu jest kolarstwo.

Jak to wyglądało bez radia? Każdy zawodnik przyklejał na kierownicy roweru karteczkę z numerami rywali, których zobowiązany jest pilnować. Mógł skontaktować się z szefem, jadącym w wozie technicznym. Oczywiście nie przez radio, bo go nie było. Należało zjechać za peleton i porozmawiać z trenerem przez otwarte okno samochodu. Trener nie miał jednak pełnego obrazu sytuacji. Niewiele widział, a nie było jeszcze transmisji telewizyjnych z motocykli. Obecnie trener nie tylko dokładnie widzi, co się dzieje, ale zna różnice czasowe między poszczególnymi grupami.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Na pewno kiedyś kolarstwo było bardziej romantyczne, nieprzewidywalne, ale czy lepsze – tego nie wiem. Z roku na rok przeciętne prędkości są coraz wyższe.

Woda Burowa i borowanie

Na dobrą sprawę w każdej dyscyplinie zawodniczki i zawodnicy traktowani są trochę jak automaty do wykonywania zadań. Ileż to razy słyszeliśmy z ust piłkarskich, koszykarskich czy siatkarskich trenerów o konieczności realizowania założeń taktycznych. W lekkoatletyce lub pływaniu szkoleniowcy ze stoperem walczą o każdą setną sekundy i centymetr swoich podopiecznych.

Do osiągania wyników zaprzęgnięte są liczne sztaby ludzi. Kogo tam nie ma? Lekarze, fizjoterapeuci, dietetycy, psychologowie (i tak na pewno jakąś specjalność przeoczyłem). Wszystko po to, żeby maszyna była zdrowa i przygotowana na konkretny start.

Z rozczuleniem myślę, że w moich czasach lekarze przybijali pieczątkę w książeczce zawodniczej niejako z automatu. U nas jedynym wyjątkiem – nie wiem dlaczego – był stomatolog. Był to bolesny wyjątek, bo maszyna do borowania zębów miała napęd nożny. Próchnica zębów była traktowana w klubie na równi z zerwaniem więzadła mięśniowego.

Drobne kontuzje i sińce leczyliśmy we własnym zakresie, najczęściej zapomnianą już trochę bardzo skuteczną wodą Burowa, a poważniejsze – w placówkach państwowej służby zdrowia. Nie doszedłem nigdy do wysokiego poziomu sportowego i treningi przerwałem bardzo wcześnie, ale czołówka, zwłaszcza reprezentanci Polski, już wówczas korzystała z raczkującej u nas medycyny sportowej. Najgroźniejsze urazy najjaśniejszych gwiazd leczono za granicą za dewizy.

Mordobicie

I wreszcie dochodzimy do tego, co najbardziej razi mnie w dzisiejszym sporcie. Chodzi mi o ordynarne chamstwo, które zawładnęło trybunami obiektów sportowych, gabinetami działaczy, z Polskim Komitetem Olimpijskim na czele, a teraz dotarło na najwyższe szczeble władzy. Tego naprawdę kiedyś nie było.

Prawicowi politycy straszą ludzi, że w Szwecji bandy imigrantów napadają na spokojnych obywateli. Nie wiem, jak tam jest, dawno w Szwecji nie byłem. Wiem natomiast, że w naszym kochanym kraju coraz częściej bandy kiboli biją nie tylko sobie podobnych, z szalikami innych klubów na szyi, ale także przypadkowych przechodniów. Przoduje w tym w Górny Śląsk. Wystarczy, że mieszkasz w konkretnej dzielnicy aglomeracji, żeby być wrogiem, zostać pobitym i skopanym.

Przemoc jest w Europie coraz powszechniejszym zjawiskiem. U nas jednak dzieje się najczęściej pod sportową flagą. Ileż to razy w tym miejscu pisałem peany o kibicach sportu żużlowego. Przychodzą na stadiony trzypokoleniowymi rodzinami, z małymi dziećmi, którym zakładają słuchawki na uszy, żeby nie ogłuszył ich ryk motorów. To sprawiedliwa publiczność, trzymająca kciuki za swoich, ale nagradzająca brawami męstwo wszystkich rajderów. I oto podczas meczu Ekstraligi w Grudziądzu z trybun zajmowanych przez gości z Torunia poleciała petarda hukowa, która ogłuszyła sędziego wirażowego. Zawody przerwano, sędziemu udzielono pomocy medycznej, a ja byłem przerażony świadomością, że chamstwo dotarło już do tego sportu.

Przykład idzie z góry. Ruch olimpijski pod wodzą niezatapialnego pisowskiego prezesa Radosława Piesiewicza gotów jest zmarnować młode talenty, które pojawiają się w niektórych dyscyplinach. Tam polityka ważniejsza jest od sportu. Nie wszyscy zauważyli, że tradycyjny piknik olimpijski tym razem nie odbył się w Warszawie, lecz w Lublinie. Warszawa to przecież Rafał Trzaskowski, wara nieudanemu kandydatowi na prezydenta od ruchu olimpijskiego.

Minister sportu Sławomir Nitras wyraźnie przegrywa wojnę, którą wypowiedział Piesiewiczowi – co zresztą od razu było oczywiste, bo bez wsparcia związków sportowych nie miał w niej żadnych szans.

Prezydent elekt Rzeczpospolitej Karol Nawrocki ma mocne powiązania z pseudokibicowskim środowiskiem, sam uczestniczył w jednej z ustawek, do czego zresztą się przyznał, ubierając jednak brutalną grupową, bandycką bijatykę w piękne słowa: „Jeśli chodzi o formy walki w ogóle, szlachetnej męskiej walki wręcz, no to w moim życiu było tego dużo”. Prokuratura stwierdziła, że w ustawce z udziałem przyszłego prezydenta RP narażono na ciężki lub średni uszczerbek na zdrowiu co najmniej 100 osób. Wirtualna Polska zidentyfikowała w niej 32 przestępców. Krótko mówiąc: szlachetna męska walka wręcz.

Sport nieuleczany

Większość życia spędziłem przy sporcie; króciutko jako zawodnik, a później w roli dziennikarza. Po co jeszcze się go trzymam? Mam z czego żyć, a w razie nagłej potrzeby moja żona businesswoman na pewno mi pomoże. Posiadam mieszkanie, samochód, duży telewizor, korzystam z zabiegów znakomitych fizjoterapeutów, którzy – jak na razie – skutecznie bronią mnie przed wózkiem inwalidzkim. Mógłbym się zająć czymś innym: pisać do szuflady powieści i wiersze, nauczyć się grać w gry komputerowe albo na jakimś instrumencie, mógłbym wreszcie zapisać się na kursy uniwersytetu trzeciego wieku.

Ale – nie. Sport za głęboko tkwi we mnie. Coraz powszechniejsze chamstwo i inne bolączki nie odciągną mnie od niego. Przynajmniej na razie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 2.07.2025 r.

eprasa.pl 798b5f08a6

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Jeżeli pan Tadeusz Duda ze Starej Wsi na Limanowszczyźnie trafi do pudła, a nie palnie sobie w łeb albo powiesi się na suchej gałęzi, to namawiam go do napisania książki. Jeśli pan Andrzej Duda z Krakowa mógł napisać autobiografię, to znaczy, że każdy może.

Pan Tadeusz Duda miałby co opisywać. Początkowe rozdziały nie musiałyby być nadmiernie wyczerpujące. Narodziny, edukacja… Banał. Ale już życie rodzinne! Ale hobby! Botanika lasu. Zoologia kłusownictwa. Nieprofesjonalny wyrób broni palnej. Co rozdział, to atrakcja.

„Kto szuka, ten błądzi" – część autobiografii o siłach i środkach zgromadzonych po to, żeby odnaleźć jej bohatera. Policjanci, strażnicy graniczni, żołnierze NATO, leśnicy, listonosze, poszukiwacze przygód i złota, psy, konie żywe i mechaniczne, drony, dżipy, kłady, transportery opancerzone, śmigłowce, okręty podwodne, międzynarodowe stacje kosmiczne.

„Co ślina na język" – analiza wypowiedzi wszystkich rzeczniczek prasowych policji, które w sprawie poszukiwania bohatera autobiografii zabrały głos. Opis granatu ich mundurów. Zachwyt nad bielą zębów. Uważne zerknięcie na fryzury. Uwaga na takie zwroty jak: „dramat, jaki się rozegrał", „tragedia rodzinna", „może pozostać nieuchwytny nawet kilka dni", „szukanie go w lesie to jak szukanie igły w stogu siana", „zna te lasy jak własną kieszeń", „zaprawiony w kłusownictwie", „bezwzględny, świetnie zorganizowany, śmiertelnie niebezpieczny".

„Najciemniej pod Jaworkiem" – streszczenie poszukiwania potrójnego mordercy Jacka Jaworka. Wiwisekcja porównawcza. Wniosek, że w Polsce można się skutecznie ukrywać przez trzy lata.

„Apetyt rośnie w miarę" – część kulinarna. Co bohater autobiografii jadł podczas ukrywania się. Obróbka termiczna. Rola ogniska w procesie gastronomicznym. Co jedli poszukiwacze. Żywienie zbiorowe. Niestrawność. Zatrucia.

„Syndrom Czerwonego Kapturka" – symbolizm baśni Charles'a Perraulta i braci Grimm. Kto jest Wilkiem, kto Babcią, a kto Myśliwym. Seksualny aspekt relacji Wilka z Kapturkiem. Nawiązanie do utworu „Szła dzieweczka" ze szczególnym uwzględnieniem myśliweczka.

„Wojowanie mieczem" – rozdział o broni. Od prostej, takiej jak kij, pałka, proca, nunczako, dzida, pika, szpikulec, nożyk do obierania jabłek. Po złożoną: samopał, samoróbka, obrzyn, strzelba, fuzja, flinta. Gnat i klamka. Spluwa i giwera. Kilka słów o pestkach, czyli nabojach. Jak z siarki od zapałek, kociej śliny i monety 50-groszowej zrobić amunicję dum-dum.

„W lesie nie ma lipy" – część satyryczna. Co bohatera autobiografii śmieszyło przed zbrodnią, a co po zbrodni, gdy się ukrywał. Wic o babci w lesie, która domaga się gwałtu. O roli papieru toaletowego w lesie iglastym. O struganiu patyka i wariata. O Aleksandrze Uznańskiej-Wiśniewskiej, Annie Lewandowskiej, Darii Abramowicz i duchu Małgorzaty Manowskiej. O pośle Marku Suskim, który w borze natknął się na szczura, Żyda i Roberta Bąkiewicza. Na koniec zagadka: Co to jest? Duże, czasem ciemne, a czasem głuche lub głębokie, z wilkami i jagodami, ale bez muchomorów. Las, tylko muchomory policjanci zjedli.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN leci do Włoch, a **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** do Londynu. Lato pełną gębą.

Wołk-Łaniewska: – Dowcip mi się przypomniał z podstawówki.

Joanna Senyszyn: – Dawaj.

– Nowa nauczycielka przychodzi do klasy, dzieci drą mordy, pani krzyczy i wali w biurko linijką, ogólna histeria, aż tu Jasio z ostatniej ławki mówi: „Uważaj, bo ci przypierdolę". Pani wstrząśnięta leci do dyrektora i opowiada sytuację. „Taki mały, ryży, w ostatniej ławce?" – pyta dyrektor. „Tak" – mówi pani. „Pani uważa, ten to może przypierdolić"…

– Niech zgadnę: oglądałaś wywiad prezydenta elekta w Polsat News?

– Dokładnie! Też miałaś tę emocję? Coś w tym facecie jest takiego, że ja bym mu raczej nie podskakiwała. Nie jestem pewna, że to jest dokładnie ta metoda, którą prezydent RP powinien zyskiwać szacunek obywateli, ale w każdym razie widzę prawdopodobieństwo, że będzie miał go więcej niż Andrzej Duda. Choć mam twardy plan przeczytać jego książkę.

– Czyją?

– Dudy. Nosi tytuł: „To ja".

– Wcale nie narcystyczny.

– Prawda? Nienarcystyczną książkę Pana Prezydenta Dudy można nabyć w okazyjnej cenie 159 zł, „z pakietem premium", na który składa się „autorskie ozdobne pudełko i autograf"…

– Nabędziesz?

– Nie, skąpa jestem, poczekam na audiobooka. Ale z zapartym tchem, bo fragmenty są porywające. Na przykład opowieść o tym, jak aparat PiS przyjął jego zwycięstwo w 2015 r. Słuchaj: „Wydawało mi się, że na Nowogrodzkiej wszyscy będą mnie klepali po plecach, że będą przeszczęśliwi – tak jak nasi wyborcy. Dziś śmieję się z własnej naiwności i z tego, jak szybko sprowadzono mnie na ziemię. Mówiąc dosadnie, był to zjazd gołą dupą po kosie do wanny z jodyną".

– Żartujesz sobie?

– Gdzież bym śmiała. Pan prezydent tak napisał o własnej dupie. Ale słuchaj dalej. Teraz będzie o tym, jak po wyborach parlamentarnych w 2015 r. Kaczyński mu powiedział, że Szydło nie będzie premierem. A Anżej na to: „Jarosławie, PiS wygrał pod hasłem »premier Szydło«! Ludzie wam zaufali, oddali głosy. Chcecie zacząć rządy od oszustwa? Nie zgadzam się na to". A prezes mu na to: „To jest polityka. Trzeba być elastycznym". A prezydent, mistrz ciętej riposty: „Powiesz teraz wyborcom, że się rozmyśliliście? Że wasza pierwsza obietnica była kłamstwem? Nawet nie dopuszczam takiej myśli, że rządy Zjednoczonej Prawicy zaczną się od oszustwa wyborczego". I wtedy „Jarosław zdenerwowany opuścił Pałac Prezydencki".

– Nie tyle opuścił, co odpuścił i nie pałac, ale elastyczność. I pomyśleć, że to wszystko zasługa lub wina Dudy. Dla takich kwiatków chyba też kupię.

– Poczekaj, udostępnię ci audiobooka. Zmieniając temat: świętuję zwycięstwo Zohrana Mamdaniego w demokratycznych prawyborach na mera Nowego Jorku. To jest fascynujące wydarzenie. Facet ma 33 lata, jest islamskim imigrantem z Ugandy…

– Choć, dodajmy, trudno go uznać za człowieka z ludu, bo tatuś jest profesorem studiów nad postkolonializmem, a mamusia nagradzanym reżyserem.

– To prawda. Ale nie na tym Zohran robi karierę. Ten chłopak jest absolutnie elektryzującym, charyzmatycznym lewakiem i prawactwo, do spółki z establishmentem Partii Demokratycznej, dostaje histerii. Od dekady zastanawiamy się…

– My, czyli kto?

– Światowe lewactwo.

– Nie wiedziałam, że masz takie koneksje…

– To nie koneksje, to tożsamość. Zastanawiamy się: czy gdyby w 2016 r. demokraci wystawili Berniego Sandersa, a nie Hillary Clinton – ocaliliby świat przed Trumpem? Nie jest to pytanie wzięte z sufitu: na miesiąc przed demokratyczną konwencją, która nominowała Clinton, Sanders pokonywał Trumpa w sondażach o 4 do 15 proc., podczas gdy Clinton przegrywała z Donaldem o 0,2 do 5 punktów. O tym, że naprzeciwko Donalda stanie żona Billa, a nie niezależny socjalista z Vermontu, zdecydował establishment Partii Demokratycznej – głównie w postaci tzw. superdelegatów, czyli tych, którzy mandat na konwencję dostali z racji pełnionych funkcji, a nie głosami ludu.

– A u nas też są pomysły, żeby senat przekształcić w zgromadzenie byłych prezydentów kraju i miast, zasłużonych samorządowców itd., itp… Ale wracaj do wyborów mera Nowego Jorku.

– *Anyway* – że tak powiem po amerykańsku – w listopadzie się przekonamy, czy „demokratyczny socjalista", po naszemu: socjaldemokrata, i „liberał", czyli postępowiec, może w USA wygrać w powszechnym wyborach. Zważywszy na to, że zarejestrowanych demokratów jest w NY dwa razy więcej niż republikanów, a na 28 członków kongresu i senatu Partię Republikańską reprezentuje zaledwie siedmiu – jest nadzieja.

– U nas też była, ale się zmyła. Przy okazji do reszty skompromitowała się niejaka Manowska, pierwsza prezeska SN, mówiąc kilka dni temu w telewizji o rozpatrywaniu protestów wyborczych: „Czy ja jestem zainteresowana w tym, żeby został prezydentem ktoś, kto powie, że ja nie jestem sędzią?"…

– I sama sobie odpowiedziała: „nie, nie, nie". To rzeczywiście była dość niespotykana szczerość.

– W zasadzie już nie trzeba było czekać na wtorkowy werdykt Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Obywatele też nie czekali i zgodnie z francuską maksymą *Le roi est mort, vive le roi*, którą można swojsko przetłumaczyć na polski jako „Nowe sito na kołek, stare sito pod stołek"…

– Tego tłumaczenia nie znałam.

– Prawda, że ładne? W każdym razie Trzaskowski spadł w rankingu zaufania z pierwszego miejsca na trzecie, Duda jeszcze niżej, a Nawrocki awansował na drugą pozycję. Tylko patrzeć, jak będzie pierwszy. Zwłaszcza jeśli naprawdę zacznie składać projekty ustaw zgodne z wyborczymi obietnicami koalicji 15 X. Będzie się działo.

– To jeszcze na koniec chciałam ci opowiedzieć o Marku Rymuszce.

– A któż to?

– Nasz nieżyjący prezes.

– Czyj „nasz"?

– Jedynej organizacji, do której należałam przez całe dorosłe życie. Marek, cudowny facet i wybitny reporter, był szefem Krajowego Klubu Reportażu, od jego zarania w 1984 r. I co cztery lata, z zegarkiem w ręku, pisał do nas list – później maila: „Kochani, w tej kadencji już nie będę kandydował na prezesa, stary jestem, zmęczony, mam inne obowiązki"… A my zasypywaliśmy go błagalnymi prośbami, żeby nas nie porzucał, on i tylko on może być prezesem, bez niego ten klub nie przeżyje… I on się w końcu godził jeszcze raz zakandydować. I oczywiście był wybierany jednogłośnie, zwłaszcza że nie miał żadnych kontrkandydatów. Coś ci to przypomina?

– Owszem. I jak się skończyła ta historia?

– Marek umarł i klub nie przeżył.

– To pointa perwersyjnie optymistyczna.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Ilustr. PAWEŁ FERENC

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 798b5f08a6